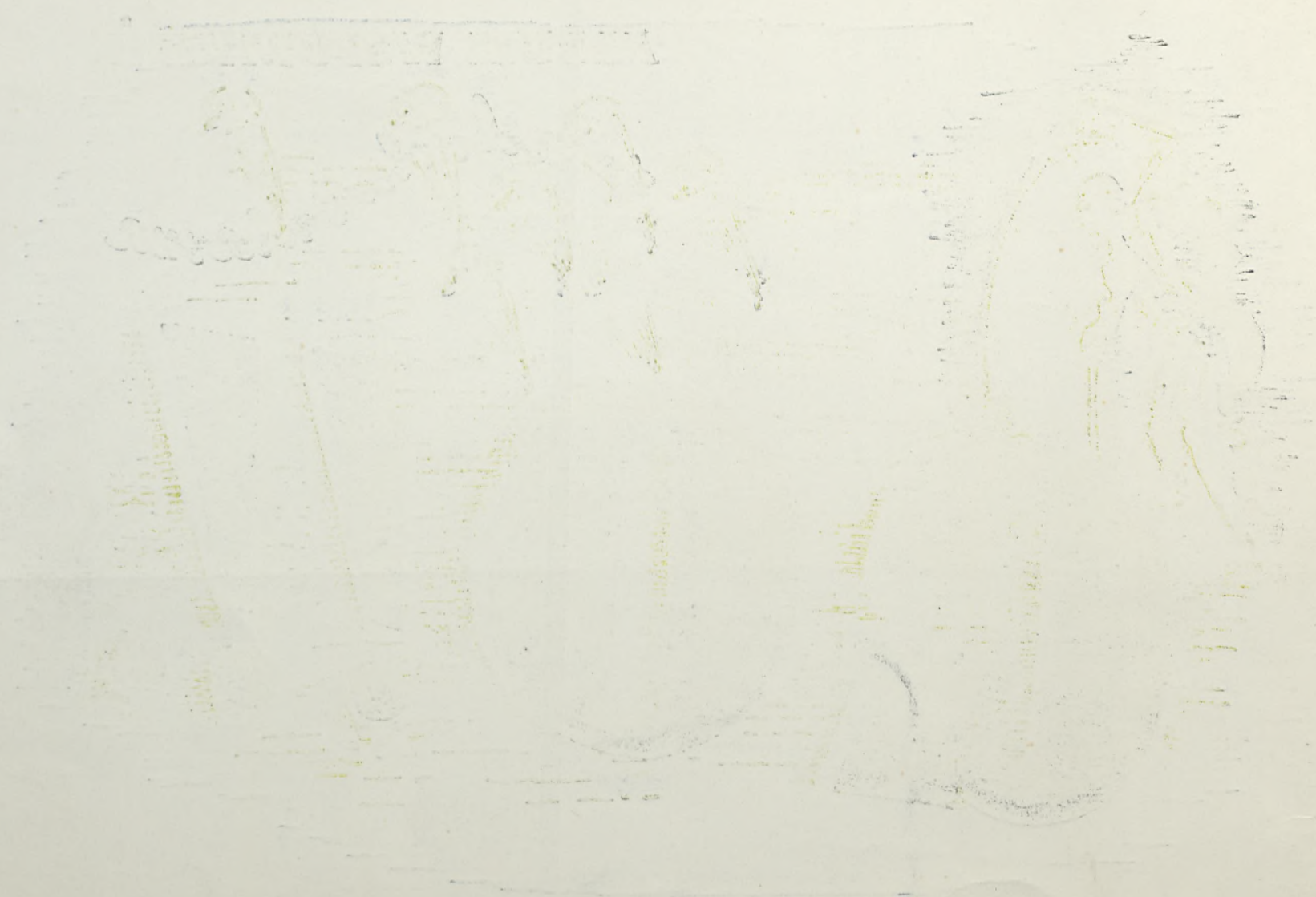


ALBUM WSPOMNIENI

*spadoczkuniarza*

GO!!!





Wap

ALBUM WSPOMNIENI  
SPADOCHRONIARZA

GO!...

PRACA PRZEDSIĘWZIĘCIA  
Współpracownicy, którzy przez dostarczenie im  
rzeczy, fotografii i karykatur przyczynili się do  
uczynienia tej pracy, składam niniejszym ser-  
deczne podziękowania.

NIEMCY ZACHODNIE

1947



*PRAWA PRZEDRUKU ZASTRZEŻONE*

*Wszystkim kolegom, którzy przez dostarczenie mi rysunków, fotografii i karykatur przyczynili się do urozmaicenia mojej pracy, składam niniejszym serdeczne podziękowanie.*

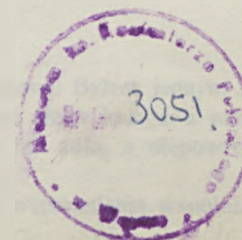
**W a p**

**ALBUM WSPOMNIEŃ  
SPADOCHRONIARZA**

**GO!...**

**NIEMCY ZACHODNIE**

**1947**



W a p

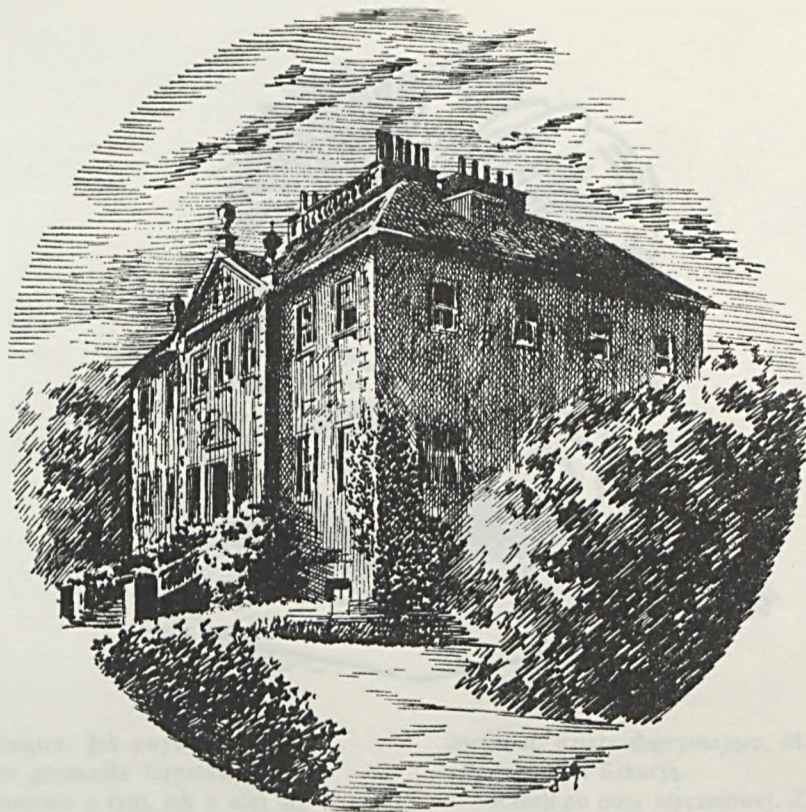
ALBUM WSPOMNIEN  
SPADOCHRONIARZA

GO!



NIEMOV ZACHODNIE

1947



Largo House

Armia Polska, która mimo klęski wrześniowej i późniejszej porażki we Francji nie załamała się, a ponownie w odległej Anglii zaczęła zierać szeregi do dalszej, nieubłaganej walki z niemieckim najeźdźcą, odradzając się na obcej ziemi powiększyła się o nową jednostkę — 1. Samodzielną Brygadę Spadochronową.

Dostojnie z całego świata poczęli się skupiać wokół Largo House

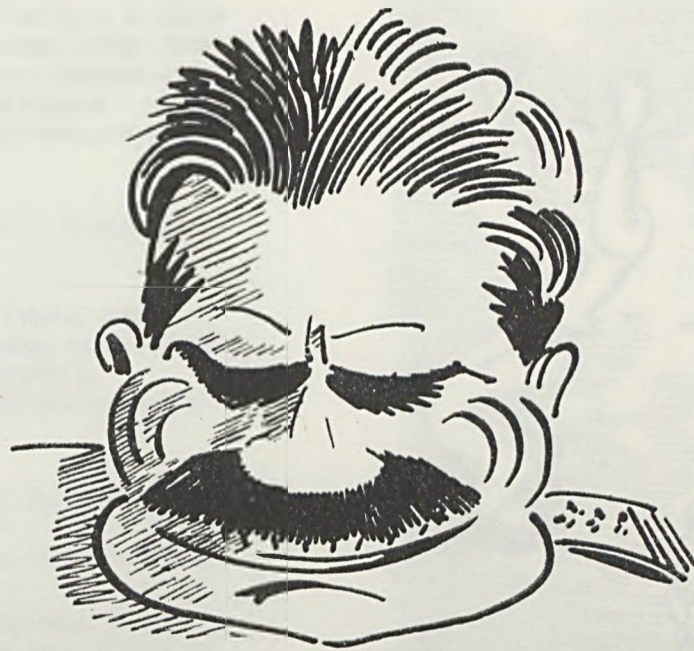
ochotnicy, przyszli żołnierze spadochronowi. Byłem jednym z nich. W sposób nieumiejętny zapewne chcę podzielić się, z kolegami przede wszystkim, odniesionymi wrażeniami, przypomnieć tak miłą, a niepowrotną przeszłość. I tylko tyle.

Rad będę, gdy słowa moje obudzą wspomnienia wspólnie przeżytej doli i niedoli.

WAP.







Jest wieczór. Już ciemno się zrobiło na zewnątrz. Jak zwykle o tej porze dnia, zbierały się w baraku francuskim małe gromadki turystów Sikorskiego gawędząc o pięknej Francji, a raczej właściwie o tym, jak z niej się wydostać. Czasem ktoś zdobył jakąś polską gazetę, która była podstawą do długich dyskusji. Tym razem wyczytał jeden z kolegów, że gdzieś tam w Szkocji „stworzono“ polski oddział spadochroniarzy.

— Wariaci — odezwał się jeden z obecnych — jeszcze nas tam brakowało.

Komentowaliśmy jednak ten wypadek dość długo i obszernie.

Po wielkich przygodach, pełnych najrozmaitszych przeżyć, płyniemy polskim statkiem po ogromnym oceanie. „Batory“. Obsługa polska. Wszystko polskie. Jedynie pasażerowie — to olbrzymie skupisko najrozmaitszych narodowości. Rozmowy toczą się w najróżniejszych językach świata. Jest nas chyba przeszło dwa tysiące ludzi.

Już kilka dni błądzimy po wodzie. Tak przynajmniej mnie się zdaje, bo nie widzę końca naszej podróży. Mgła, która nam skraca i tak pusty

horyzont, działa deprymująco. Marynarze mówią, że już niedługo winniśmy zobaczyć ląd: Szkocję.

Ranek po nocy styczniowej. Zimno, aż przejmująco. Wpływamy do portu. „Batory“ pomrukuje od czasu do czasu, jak gdyby witał tym sposobem nieznaną dla nas ziemię. Ogarnia mnie dziwne uczucie; byłem pewien, że tu wojna w pełni, a tymczasem jakoś jej nie widać. Może w głębi łądu coś zobaczymy...

Pociąg zatrzymuje się, to znowu dalej rusza... Ot, taki zwykły wojskowy transport. Zatrzymał się wreszcie. Mamy wysiadać. Tak nam „mówią“ rękami kolejarze. Nazwa stacji taka śmieszna: Dunfermline. Też nie mogli ci Szkoci lepszej wymyślić. Przywitał nas służbowy. Bez tych służbowych człowiek nigdzie chyba nie mógłby się ruszyć. Jest ich wszędzie pełno. Prowadzi nas do kwater.

Duża sala, prycze no i koce na nich, i śpiący, i w ogóle jak w koszarach. Usiadłem na przydzielonym mi łóżku, i po pewnym czasie położyłem się spać.



Pobudka. No i znowu spisywanie, zapisywanie, karty zaopatrzenia, przydziały, i wykłady: „to jest karabin maszynowy. Tu jest muszka, a tu szczerbina... potem lotnik, potem gaz, potem badanie lekarskie, potem znowu zbiórka... jakies to wszystko już tak nudne, że cholera człowieka bierze.

A wojny jak nie ma, tak nie ma. Spotykamy dawnych kolegów — wspomnienia, przeżycia dawnych czasów — tych nie ma, tamtych brak, ci w niewoli, o innych nic nie wiadomo. Co się z nimi stało?...

Coraz nas mniej...

Co dalej będzie? Co tu robić? Tak czekać w ciemno? — To beznadziejne i straszne. Siedzieć bezczynnie nie można.

Od tego też się właściwie zaczęło. „Co tu robić?“

Zebrałiśmy się, ci ostatni przybysze z kontynentu i dawaj radzić:

— Coś trzeba zrobić, bo przecież nie można wytrzymać na tych wykładach. Albo do wojsk polskich do Rosji, albo do spadochroniarzy.

— Wiecie — powiedział jeden — piszmy podania do jednych i do drugich. Coś na pewno chwyci.

Nie pomyliliśmy się.

Jest przydział: Spadochroniarze... I już za trzy dni meldować się.

Dlaczego im się tak śpieszy?

Powoli zbliża się wieczór. Czują się najwyraźniej zmęczeni. Dlaczego? — nie znajdują odpowiedzi.

Prycza, na której wczoraj tak doskonale się przespałem, jest dzisiaj tak twarda, że ciężko zasnąć. Na sali, w przeciwnym rogu, jedna lampa elektryczna oświetla kilka twarzy... „Dwa bez atu... cztery kiery...“

Starzy bywalcy...

Jakież to łóżko twarde... Po co napisałem to podanie... Ochotnik do spadochroniarzy... Tak. Ale co tu robić? Coś mi się zdaje, że wszystko się kołysze. Nie.

Toż to chyba nie strasznego ten skok na spadochronie — myślę. Przecież już w Polsce skakałem... z wieży spadochronowej.

Jak ja się wówczas bałem... Ale zacisnąłem zęby i... zepchnięty, wypadłem z wieży — no a potem jeszcze kilka razy.

Tu samolot... Jak taki samolot w ogóle wygląda? Jeszczem go z bliska nie widział.

Jest tam podobno jakaś dziura... Dlaczego dziura, a nie drzwi? A może to lepiej — bezpieczniej? Już tak chyba doświadczyli i tak musi być.

Jeśli jednak dziura... to jakżeż tę rączkę się pociąga i kiedy?... A, racja jest tam jakaś taśma automatyczna co wszystko otwiera... A jak się nie otworzy? E. to bujda, na pewno tak opowiadają ci, którzy nie chcą skakać...





Jak się to jednak stało, że Zalewski... tak, już śpi snem wiecznym. A pamiętam go, jak we Francji chodziliśmy razem na wykłady... Piękna słoneczna Francja, tyle w niej pokładaliśmy nadziei, a tak strasznie wszystko się skończyło. I tak szybko.

To jednak ten spadochron nie zawsze się otwiera...

Jakież to łóżko nieznośnie twarde... w ogóle spać nie można. „Szlemik w kierach“. Ci jeszcze.

Najwyraźniej słyhać zbliżający się samolot... warkot silników... nie, to nie są Dornieri... A może to te, jak to się nazywają... ach z tymi angielskimi nazwaniami nie można dać sobie rady. Już wiem Whitley. Tak, to z niego skaczą...

Jak ten spadochron jest zrobiony? Płótno, linki, taśma... — ach, ta taśma — jak się zerwie... strasznie... a zresztą wszystko jedno. Co ma być, to będzie.

Kiedy zasnąłem nie wiem, chyba późno. Nie odpocząłem podczas tej, prawie nieprzespanej, nocy. Cała nasza „paczka“ zdaje się przeżywała te same myśli. Widać to zresztą po twarzach.

— Wiesz Bajbus, nawet się cieszę, że nas już powołali do tych spadochroniarzy. Zobaczymy jak to wszystko wygląda. To może być wcale interesujące.

Bajbusowi moja uwaga prawdopodobnie się nie podobała, bo coś mruknął pod nosem. Nie dosłyszałem co powiedział. Wiem tylko, że był zły.

— Wszystko mi jedno — powiada — tylko ten „Sosab“ — cholerra, wcale mi się nie podoba.

— Kto to jest — zapytałem.

— Wiesz, po napisaniu podania opowiedziałem o tym pewnemu koledze. On już jest tu w Szkocji dość długo, i zna stosunki... Opowiedział mi dokładnie kto to jest ten „Sosab“.

Bliższych danych nie chciał tego dnia zdradzić. Twierdził, że sam się o tym przekonam, że nie chce mi psuć humoru, że... w ogóle... żebym się przypadkowo nie rozmyślił. Słowem, naftą chciał ugasić pożar.

Nie tylko ten tajemniczy spadochron nie dawał nam spokoju, ale jeszcze jakiś „Sosab“. Któż to jest taki straszny?

Nie wiem. To i lepiej. Po co wiedzieć wszystko od razu? Dwie niewiadome — bardziej interesujące.

A czas nieubłaganie zbliżał nas do chwili odjazdu do nowego m.p.

I znowu pociąg. „Rozmowy“ na migi z obsługą kolejową... Co za język, tego się chyba nigdy nie nauczymy — piszą tak, mówią zupełnie inaczej. Co za ludzie.

Leven. Wsiadamy. I znowu służbowy.





Meldujemy się w dowództwie. Wita nas major. Ma nawet rogatywkę z zielonym otokiem. Z miejsca wskazuje na napisy na korytarzach: „Wróg podsłuchuje“. „Należy zachować bezwzględną ciszę“. „Nie wolno przebywać na korytarzu“. „Dowódca — nie wchodzić“. „Gęba na kłódkę“...

— Cholerrra, tu jest wojna — zauważył Bajbus.

— Pst... — syknął major, najwyraźniej przerażony tą głośną uwagą.

Po pewnej chwili adiutant zgłosił nasze przybycie u dowódcy, i — niebawem mieliśmy stanąć oko w oko z „Sosabem“.

— Wiesz — zwróciłem się do Bajbusa szeptem — czy on rzeczywiście taki straszny, jak go malują?

— Nie wiem, — kolega mi mówił, że to jest cholerrra. Niesamowity człowiek. Wprost tyran. Straszliwie bezwzględny. Stary, a twardy jak kamień.

— Że też wcześniej o tym nie wiedzieliśmy — wtrąciłem.

W tym lekko zaskrzypiały drzwi, na których widniał pięknie wystylizowany napis „Dowódca nie wchodzić“. Trwało to moment. Przed nami stała postać średniego wzrostu. Najprawdopodobniej dowódca. Spojrzał na nas przenikliwym wzrokiem spod krzaczastych brwi i usztywnił nas w postawie zasadniczej. W lewej ręce trzymał okulary, przygryzając je tak, jakby coś ważnego decydował; prawą ręką złapał kłamkę drzwi adiutanta i mrugnawszy coś niezrozumiale wpadł do pokoju.

— Panie pułkowniku... można rozmawiać, Anglicy na linii.

— Colonel Sosabowski... Yes... No... Wot... No... Sosabo... impossible... No... poruczniku Dyrda, mów pan z tyimi Anglikami... oni w ogóle nic po angielsku nie rozumieją. Mów pan, mów! — i jak wpadł, tak jeszcze szybciej wyskoczył od adiutanta i znikł w swoim pokoju.

Rozmowa, którą niechęć słyszeliśmy, dźwięczała nam w uszach i lekko i apetytnie obawą Przyszliśmy we wcale dobrym humorze, który teraz najwyraźniej... przygasał. Milczeliśmy.

— Proszę panów — przerwał nam naszą „drzenkę“ adiutant.

Wchodzimy do dowódcy. Ten sam. Przyjął nasz meldunek, po czym zaczął mierzyć pokój krokami. Trochę go już wiek pochylił — włosy lekko rozwiane, przyprószone srebrem. Stał, zmierzył nas wzrokiem i...

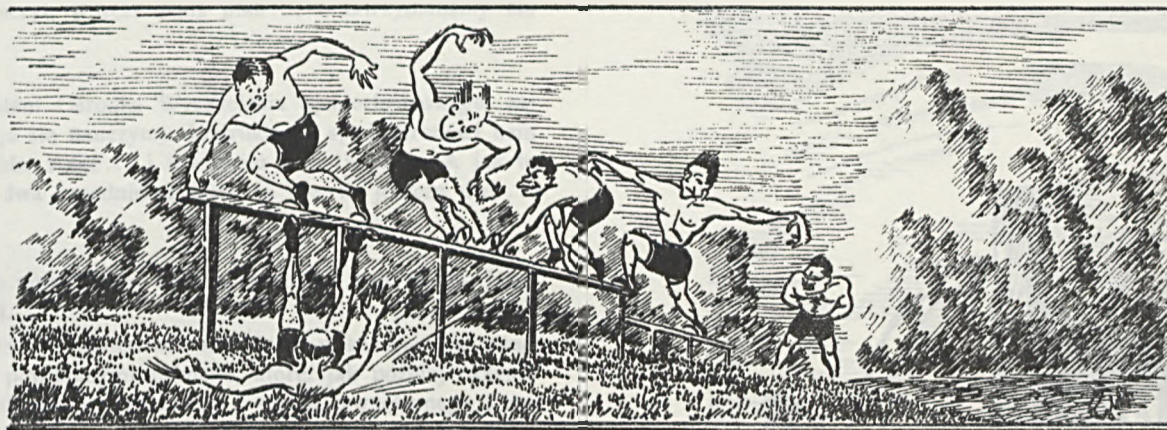
— Dostałem wasze podania z prośbą o przyjęcie do spadochroniarzy... Tak... Wreszcie żołnierze z prawdziwego zdarzenia... Tak... Pójdą panowie do badania lekarskiego, a potem na wstępne przeszkolenie spadochronowe... tak. Ha, ha... Zobaczmy.

Tu roześmiał się tak przyjemnie, że oczy nabrały zupełnie innego koloru. Tak dziwnie wyglądały; biło z nich jakieś zadowolenie. Wtem znowu się zmienił i dodał chłodno:









— Zaznaczam, że cokolwiek tu się robi jest ścisłą tajemnicą. Dziękuję panom.

Wizyta się skończyła. Krótko i węzłowato. Myślałem, że gorzej wypadnie.

Wszystko w tym dniu i następnym było „nowe“. Czas pędził niesamowicie. Widocznie był on tu bardzo drogi.

Byliśmy badani przez lekarzy. Było ich wielu. Pamiętam, jak jeden z nich groził mi palcem przed nosem. Tuż przed samym nosem.

Na zapytanie dlaczego to robi odpowiedział, że bada moje nerwy i wzrok.

Wiadomo, spadochroniarz nie może być nerwowy.

Potem kazał mi zamknąć oczy i chodzić po kresce, którą sam kredą na podłodze wymalował. W ogóle wszystko było bardzo zabawne. A po tym wszystkim dostaliśmy przydział do „116“. Nie było na to czasu, żeby zobaczyć miasto.

— Mielicie panowie szczęście — witał nas jeden z nowych kolegów — bo to najlepszy oddział. I dowódca najlepszy. I „wiara“ dobrana. Miejscowość piękna. Kuchnia pierwszorzędna i wszystko...

I znowu opowiadania, dyskusje, i...

— Jutro moi panowie, jutro rano — wymarsz do „Małpiego Gaju“ — powiedział adiutant.

„Małpi Gaj“! A to co znowu? Na każdym kroku jakaś niespodzianka. Wszędzie coś tajemniczego. Wszystko — ściśle tajne...

Następnego dnia obudziłem się dość wcześnie, i już nie mogłem zasnąć.

Wstaję i podchodzę do okna. Nad Lundin Links, tak się bowiem ta miejscowość nazywała, wstał piękny poranek. Słońce przeglądając się w morzu, ospale budziło swymi promieniami całe wybrzeże: wysunięty półwysep z małą skałą, nadbrzeżne miejscowości, ogrody i w głębi niewysoką górę. Pod tą górą widać jakieś większe zalesienie, czy park. może to ten „Małpi Gaj“?

Śniadanie, zbiórka i wymarsz do „Małpiego Gaju“.

Przechodzimy po raz pierwszy miejscowość. Czyste asfaltowe drogi, piękne domy i wille, ogrody ze starannie utrzymanymi trawnikami, pełne kwiatów.

Mijają nas przechodnie śpieszący się do autobusu. Dalej strumyk... „Tea Room“...

— A tu w tym domu mieszka nasza babcia — odezwał się jeden z bardziej już zasiedziały — jeśli panowie będą mieli apetyt na herbatkę to tu najprzyjemniej się siedzi. Są tam i ciastka, i kejki, i jam... Trzeba z babcią tylko porozmawiać, a wszystko się znajdzie.

Tak gawędząc doszliśmy do bramy uzbrojonej w napis „Teren wojskowy, wstęp dla niepowołanych wzbroniony“, i coś jeszcze, chyba to samo tylko, że po angielsku.

— „Małpi Gaj“ — brzęknął ktoś pod nosem.

Stare rozłożyste drzewa. Idziemy krętą aleją wysadzoną po bokach rozłożystymi rododendronami. Poza nimi nic nie widać. Musi tu być pięknie na wiosnę i w lecie — pomyślałem. Przed nami przeleciał kos tuż nad zie-



nią, po tym królik wyskoczył, jeszcze jakiś ptak... i zatrzymaliśmy się przed domem.

„Largo House“.

Przywitał nas Komendant Ośrodka Wyszkożenia Spadochronowego, zapewniając, że tu wszystkiego się nauczymy. Instruktorzy spadochronowi nam pokażą co, jak i gdzie trzeba robić... i tak przez dwa tygodnie. A jak to nie wystarczy, to jeszcze dwa tygodnie, a jeżeli to nie, to jeszcze dwa... aż do skutku.

Pierwsza lekcja.

Duża sala. Są i lustra, pozostałości dawnej świetności tego domu; kilka ławek, w środku długi stół.

— To jest spadochron — powiedział instruktor, wskazując na jakąś leżącą przed nim torbę z powikłanymi taśmami, które, jak później okazało się, były szelkami. — Składa on się zasadniczo z worka zewnętrznego i wewnętrznego, w którym z kolei znajdują się: zwinięty spadochron i linki.

— To, co tu widzicie, to jest spadochron spakowany, gotowy do skoku. Na nim skaczą wyszkoleni spadochroniarze. Jak się taki spadochron otwiera, zaraz pokażę i wytłumaczę, żeby nikt nie miał prawa powiedzieć, że taki spadochron się nie otwiera. Zasadniczo otwiera się zawsze. Ale jak komu „pisane“, to już mu nic nie pomoże.

— Dotychczas żaden z tych, którym spadochron się nie otworzył, prensji nie wnosił...

I tak mówiąc i objaśniając, rozwijał powoli „tę paczkę“, rozrywał wcale mocno powiązane sznurki i po pewnym czasie zobaczyliśmy na stole w całej okazałości wysuniętą czaszę spadochronu i całe mnóstwo linek.

Czarodziejska czasza, która pozwala ludziom pływać w powietrzu.

Każdy z nas słuchał w skupieniu słów instruktora. W kościele nigdy nie zauważyłem takiej ciszy, jak w czasie tego wykładu.

Tak

Myśli kotłowały mi się w głowie i wciąż nieubłaganie... ta czasza.

„Otworzy mi się, czy się nie otworzy?“

Po godzinie wyszliśmy do ogrodu na trawnik, koło tych pięknych rododendronów. Tu rozstawieni w półkolu uczyliśmy się „przewrotek“.

— To nic strasznego. Ot, tak stanąć, nogi razem, stopy też razem — mówił instruktor. — I tak... lądować!

Tu pokazał całą ceremonię lądowania i dodał:

— Kto tak będzie lądował ten zawsze dobrze wyląduje. W każdej okoliczności — zapewniał.

Po tym pokazie, każdy z nas: w tę „przewrotkę“... i w lewo i w prawo i w przód i w tył i w ogóle.





the following... (The text is extremely faint and illegible, appearing to be a series of lines of text, possibly a list or a set of instructions, but the content cannot be discerned.)



Dobrze, że ten trawnik był miękki — podobno nasi poprzednicy wybierali już najdrobniejsze kamyczki.

Tuż obok tego widowiska, które urządzaliśmy, leżały dwa stare pnie, a obok nich wkopane cztery słupy, przykryte „daszkiem“.

Instruktor zebrał nas wkoło tego, jak to nazwał, „przyrządu“. Kazał nam ćwiczyć przewrotki najpierw z tych pni, a po tym z tego daszku.

To już sprawa zupełnie inna. Tak z wysoka to nie wesoło. A jak się noga złamie, a jak ręka... kręciliśmy głowami.

— Każdy z was „przecież to wykona“ — mówił instruktor. — Oczywiście. To takie proste.

Pokaz.

Instruktor zawsze pokazał. No i my także.

— Pierwszy... „GO“!

Co to?

Instruktor krzyknął, przy czym pomógł sobie ręką — o! tak machnął — a pasażer stoi na daszku i nie rusza się.



Malpim stylem



— A, zapomniałem wam powiedzieć, że to „GO!“ — znowu krzyknął — to znaczy u nas tyle jak rozkaz do skoku. To wszędzie się spotyka.

„GO!“ huknęło echem po gaju.

Tym razem pierwszy skoczył, jak strzelony z procy.

Tylko matka ziemia jęknęła pod Bajbusem, bo był chłop okazały. Waga u lekarza zanotowała mu 14 „stonów“.

Potem, drugi i reszta, po kolei.

Aby się zbytnio nie wyspecjalizować tylko w tym kierunku, podeszliśmy za instruktorem do następnego „przyrządu“.

Drzewo stare, z rozłożystymi konarami. Jeden z nich wykorzystał jakiś geniusz spadochronowego szkolenia. Zawiesił na nim dwie linki stalowe, zakończone uszkami. Cały przyrząd.

— „Huśtawka“ — powiada instruktor. Na niej odpoczywają huśtając się uczniowie po nauce przewrotek. Przy tej okazji nauczyliśmy się „wchodzić“ w szelki, po czym po przypięciu się do tych dwóch zwisających linek, bractwo huśtało się nawzajem z wielką rozkoszą.

Kiedy po godzinie huśtania przeszliśmy do następnej huśtawki, której linki były dłuższe, a tym samym znacznie wyżej zaczepione, cieszyliśmy się bardzo. Nie wiedzieliśmy jednak, co ten przyrząd w sobie kryje. Nazywa się szumnie „Trapez opuszczany“.

Zbudowany był już bardziej skomplikowanie. Walec do nawijania linek, hamulec, korbka do wyciągania „spadochroniarza“ na pewną wysokość.

Cała maszyna.

Tym razem wypadło mnie „dać się powiesić“ jako pierwszemu.

Przede wszystkim musiałem założyć hełm — nie ten wojskowy, lecz taki ochronny motocyklowy. Potem „wszedłem“ do szelek spadochronowych i dobrze opięty, czekam co dalej będzie.

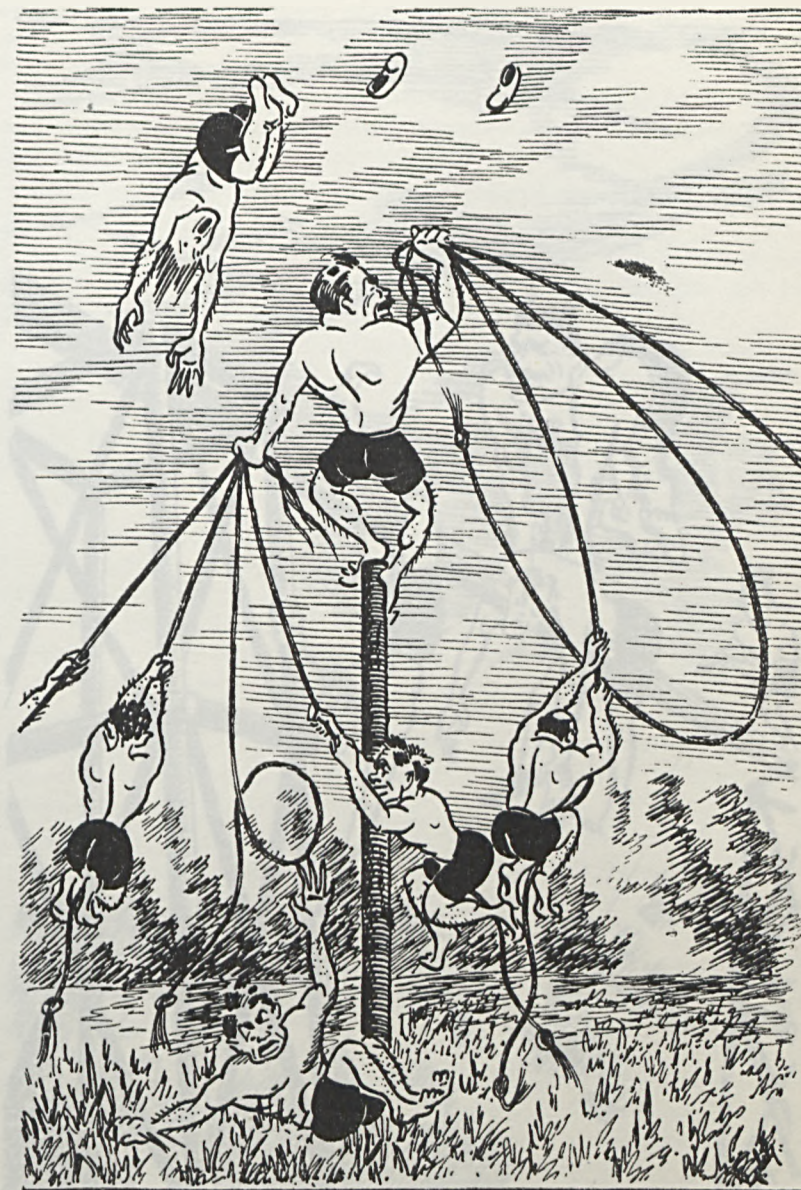
Instruktor wszystko sprawdził, po czym koledze kazał kręcić korbkę, a mnie kazał wejść na podobny daszek, z którego niedawno skakaliśmy. Daszek ten był o tyle nieprzyjemny, że był dość wysoki i nie miał żadnych uchwytyłów po bokach. Bardzo łatwo można było z niego spaść.

Kiedy już byłem na górze, kazano mi usiąść na krawędzi, opuszczając przy tym nogi, i co najważniejsze — złapać rękami za spodnie. Bałem się, nie wiedziałem bowiem, co się ze mną stanie. Kolega tymczasem w dalszym ciągu nakręcał linki na walec, tak, że zupełnie były napięte.

Jeszcze trochę, a ściągnie mnie — pomyślałem...

— „GO!“ — huknął instruktor.

Czuję jak mi włosy podnoszą hełm. Brak mi tchu, mimo to, że powietrze świszczę koło uszu. Widzę ziemię, na której stoja śmiejący się koledzy, to znowu wszystko gdzieś niktne...







Tu instruktor jednak przerwał ciszę, poprawiając błędy, które robiłem i znowu:

— „GO!“

Chwytałem przerażony za linki... ziemia błyskawicznie zaczyna się przysблиzać... „nogi razem“ i... bęc o ziemię.

— Dobrze wylądował — powiada instruktor.

Dobrze — pomyślałem sobie — że stoję wreszcie na ziemi.

Zanim zdałem sobie sprawę ze wszystkiego, co się ze mną działo, koleddy zdążyli przejść to samo.

Poprzednio, po odbytym ćwiczeniu toczyła się zwykle długa dyskusja. Teraz mało kto się odezwał.

Po ćwiczeniach odbytych na przyrządach, które zresztą powtarzaliśmy przy każdej okazji, zgodnie z programem zajęć, czekała nas wcale przyjemna gimnastyka.

Ale nie taka zwykła gimnastyka, jaką poznałem w innych oddziałach, czy w szkole. Po kilku lekcjach przekonałem się, że to raczej... łamanie kości. I dlatego właśnie instruktora od gimnastyki nazwaliśmy „łamaczem kości“.

Kiedym raz wcześniej, bo już o wpół do szóstej rano, udał się na spacer do „Małpiego Gaju“, „GO!“ rozlegało się wśród śpiewu ptaków. Kiedy przyszedłem do pierwszego przyrządu gimnastycznego zauważyłem przy nim grupę starszych panów. Na czele oczywiście Dowódca Brygady. Instruktor W.F. stał z jednej strony żerdzi, a Dowódca Brygady z drugiej strony. W rzędzie, za żerdzią, ćwiczący.

— No, majorze, marsz, pokaż pan, co pan możesz — i tak za nim reszta starszych panów. Instruktor stał i milczał. Chodziło w tym ćwiczeniu o przejście po żerdzi, utrzymując równowagę.

Złośliwi twierdzili, że kto poprawnie to ćwiczenie odbędzie kilkaset razy, ten zawsze będzie w życiu zrównoważonym człowiekiem.

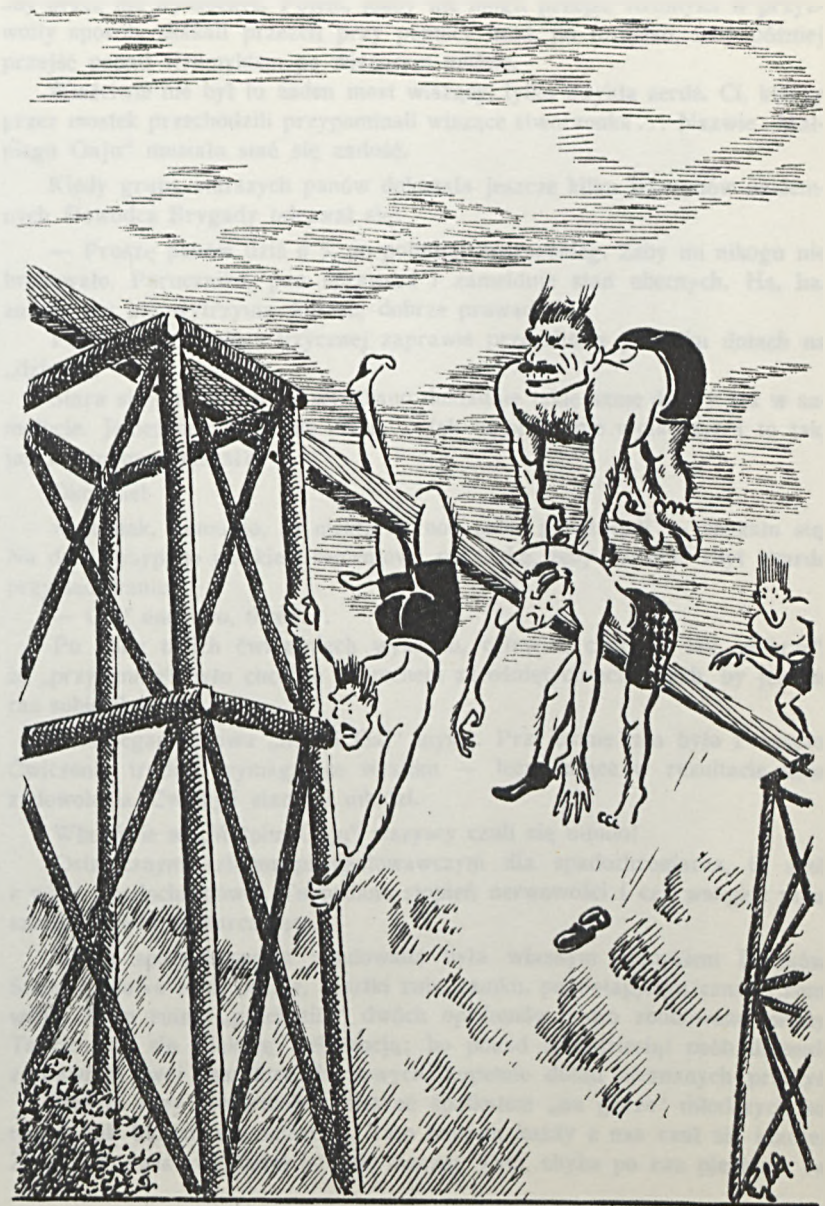
Dowódca Brygady przeszedł po żerdzi i wszystkich tak długo ćwiczył, aż poprawnie wszystko, co trzeba, zrobili. Z zadowoleniem chrząknął kilka razy...

— A teraz wam pokażę, jak się skacze przez płot!

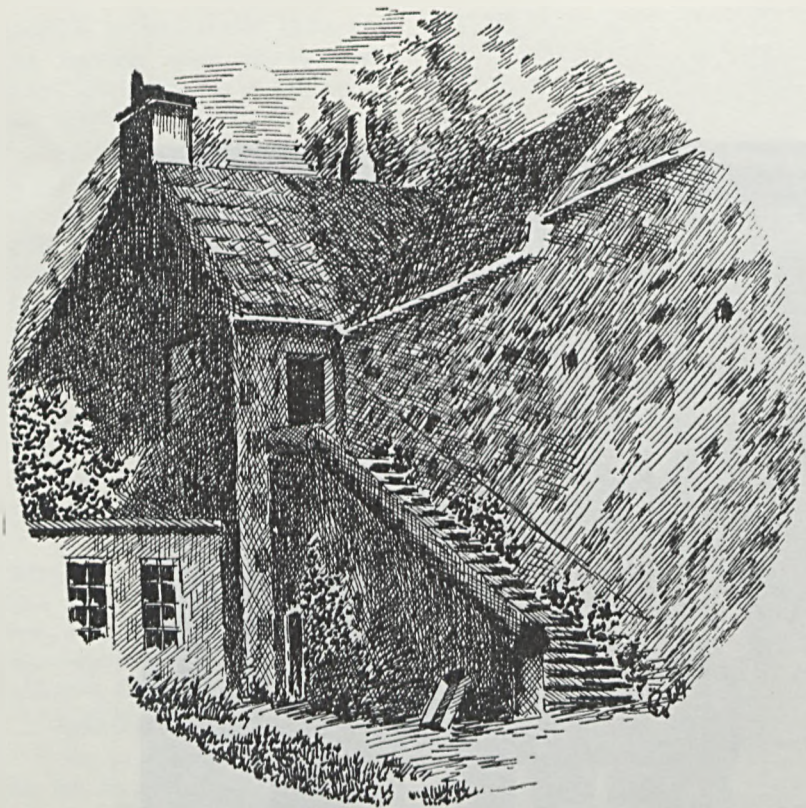
Biegiem skierował się w kierunku przyrządu przedstawiającego część płotu i nabrawszy rozpędu... hop! Zawisł w powietrzu nad płotem przelocując ciało na drugą stronę. Zrobił kilka kroków, odsapnął trochę.

— No, moi panowie, proszę bardzo, proszę bardzo.

Oczywiście, starsi panowie niezbyt kwapili się, żeby tę przeszkodę pokonać. Zresztą na to im już i wiek nie bardzo pozwalał. „Starego“ od tej chwili zacząłem podziwiać. Był leciwy, ale szedł wytrwale do celu.







Starsi panowie tymczasem, delikatnie wymijając płot, podeszli do drzewa, które stało obok. Były na nim dwie liny. Po tych linach wdrapywali się na konary i już rzeczywiście czysto małpim stylem łazili po gałęziach.

Kiedy już wszyscy to przyjemne ćwiczenie odbyli, całą grupą ruszyli pod karuzelę. Karuzela, ot taka sobie dziecinna zabawka. Cztery linki związające ze słupa. Czterech podchodziło, łapiąc za linki na rozkaz instruktora i nabrawszy rozpędu, jeździli sobie, aż znowu „GO!“ ćwiczyli lądowanie.

Jeden ze starych „przynależnych“ do spadochronowej powiedział:

— W Brygadzie tak samo, jak na tej karuzeli — kośćcem Sosab. Reszta — wisi. Utrzymasz się jeśli masz siłę — jeśliś słaby — przepadłeś...

Po karuzeli starsi panowie podbiegli do specjalnie przygotowanego okna,

aby przez nie wyskoczyć. Potem, jakby nie mogli przejść strumyka w przywoity sposób, skakali przezeń przy pomocy linki, po to tylko, żeby później przejść ponad strumykiem po wiszącym moście.

Właściwie nie był to żaden most wiszący, tylko zwykła żerdź. Ci, którzy przez mostek przechodzili przypominali wiszące stworzonka... Nazwie „Małpiego Gaju“ musiało stać się zadość.

Kiedy grupa starszych panów dokonała jeszcze kilku wyczynów naziemnych Dowódca Brygady odezwał się:

— Proszę panów dziś o 5. po południu marszobieg. Żeby mi nikogo nie brakowało. Poruczniku, pan sprawdzi i zamelduje stan obecnych. Ha, ha, zobaczymy kto wytrzyma, kto się dobrze prowadził.

Po przygotowaniu i fizycznej zaprawie przeszliśmy po kilku dniach na „dziurę“.

Stara stajnia. W suficie wyrąbano dokładnie takie same dziury jak w samolocie. Jakież one strasznie małe... Jak tu przez nie wyskoczyć i to tak, jak instruktor pokazał?

Okropne!

A jednak, mimo to, że niektórzy nos sobie porozbijali — skakało się. Na dole wysypano piaskiem cementową posadzkę, żeby nie było zbyt twardo przy lądowaniu.

— GO! one, two, three...

Po kilku takich ćwiczeniach wyskoku, człowiek czuł się tak „dobrze“, że „przyjemnie“ było chodzić po mchem zarośniętych schodkach, by jeszcze raz sobie skoczyć.

Przebiegam znowu „Małpi Gaj“ myślą. Przyjemnie tam było i wesoło. Ćwiczenia trudne, wymagające wysiłku — lecz dające w rezultacie dużo zadowolenia. Ćwiczyli starzy i młodzi.

Właściwie w „Małpim Gaju“ wszyscy czuli się młodo!

Ostatecznym szlifem przygotowawczym dla spadochroniarza, to skok z wieży spadochronowej. Tu badano stopień nerwowości i czy wstępne przeszkolenie było wystarczające.

Wieża spadochronowa zbudowana była własnym pomysłem Polaków. Stanęła wiotka obok baszty, resztki ruin zamku, pamiętającego czasy Cromwella. Stare ruiny „gnieździły“ dwóch opiekunów nowo zbudowanej wieży. Ta cieszyła się większą frekwencją: bo ponad kilkadziesiąt osób dziennie zaprawiało swój charakter do nowych, zupełnie dotąd nieznanych przeżyć.

Ileż to razy stwierdziłem, ilekroć spotkałem „na górze“ młodszych kolegów, jak bardzo się zmieniali. Tam bowiem każdy z nas czuł się inaczej. Z „góry“, świat wyglądał istotnie inaczej. Tam, chyba po raz pierwszy za-





Ośrodek szkolenia spadochronowego Ringway — przed rozpoczęciem zajęć.



częliśmy na serio myśleć przeży-  
jąc zupełnie nowe uczucia. Iluż  
z nas zaczęło się bać po raz pierw-  
szy samych siebie.

Patrząc z dołu na wieżę, w ogó-  
le nie mogliśmy stwierdzić, że ona  
się „kiwa“. Może zdawało nam się,  
gdyż często to uczucie niepewności  
przeżywaliliśmy. Iluż z nas wówczas  
zadawało sobie pytania: będziemy  
spadochroniarzami, czy nie? Iluż  
zaczęło wątpić właśnie tam, przed  
poręczą i łańcuszkami, we własną  
siłę pokonania swego własnego in-  
stynktu samozachowawczego.

Stał jednak obok nas zawsze  
kolega instruktor i...

— „GO!“ — krzyknął w samo  
ucho, że zapomniało się o wszyst-  
kim. Uwaga skupiała się tylko na  
tym, żeby wykonać wszystko to, co  
nam wpajano w czasie pobytu w  
„Małpim Gaju“.

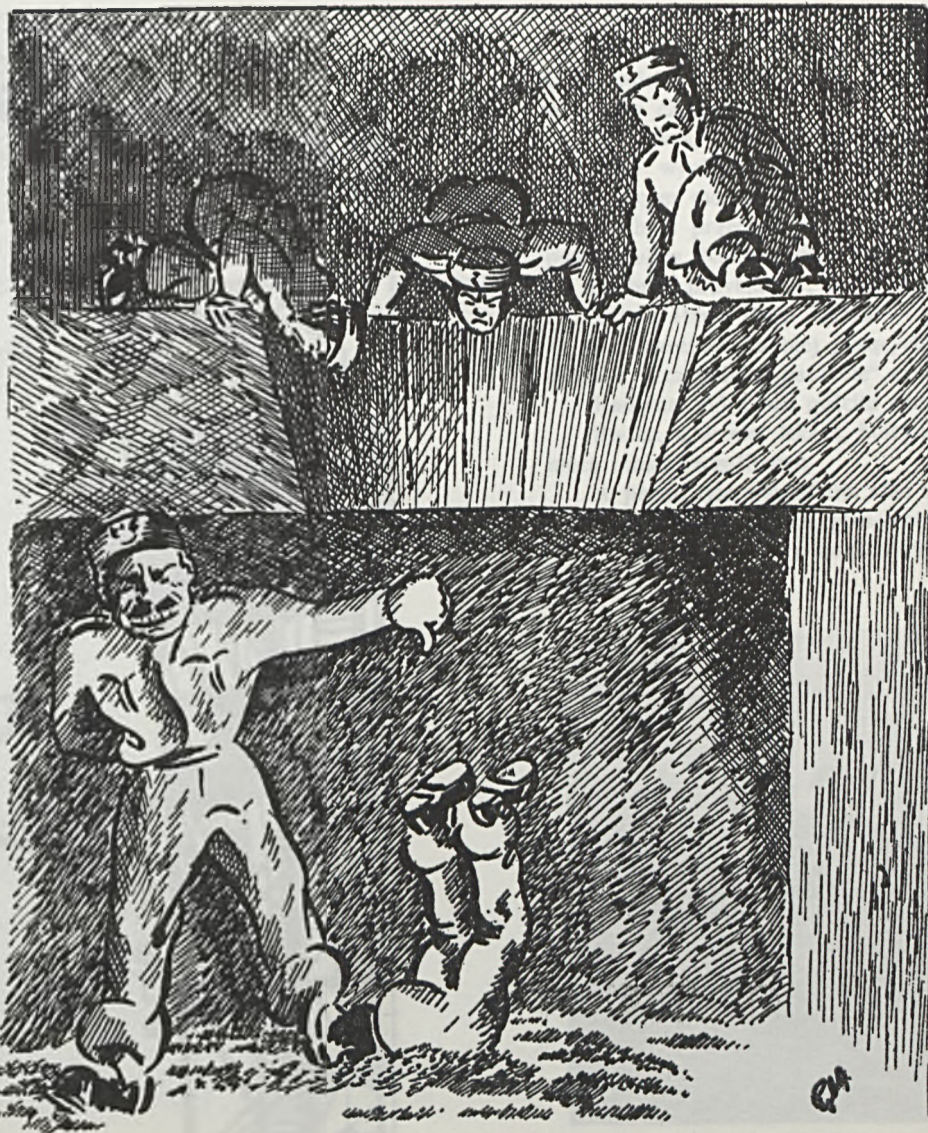
Lęk? Bojaźń? — owszem, tak.

Nie pamiętam, żeby ktoś się  
nie bał. Skok bowiem, nie jest rze-  
czą naturalną. Jest czymś, czego  
normalny człowiek nie znosi.

Wieża jednak, i skok z niej, po-  
zostawiły pierwszy i niezatarty  
ślad większego przeżycia. Jakaś  
dziwna satysfakcja, zadowolenie z  
własnego wyczynu.

Wstępne przeszkolenie, które  
dał „Małpi Gaj“, były podstawą  
i warunkiem, żeby pójść dalej i ska-  
kać rzeczywiście na spadochronie z  
prawdziwego samolotu.

Dokąd dziś jedziemy? Do Ring-



way. Wstawało się wcześniej rano  
i w pełnym rynsztunku maszerowa-  
ło na dworzec. Jazda pociągiem by-  
ła dość długa i męcząca.

Czyżby nas tylko sama jazda  
męczyła?

Nie. Ciągnęła myśl o tym, jak  
ten samolot wygląda, jak spado-  
chron, czy się otworzy, no i w ogó-  
le sam skok — snuła się przez całą  
drogę.

Czyż niejednego z nas nie mę-  
czyło pytanie: Dobrze! Skoczę, ale  
czy wrócę z powrotem?

Mówiąc szczerze, obok myśli  
ponurych były i wesole: będę miał  
znak spadochronowy, będę spado-  
chroniarzem, skoczę do kraju...

Głuchy, monotony, stuk kół  
pociągu budził nas i przywracał do  
rzeczywistości:

„GO!... GO!... GO!...“ —  
stukaty koła pociągu.

„Idziesz w nieznane. Czy wiesz  
co się z tobą stanie? Zabijesz się,  
a mogłeś spokojnie cieszyć się ćwic-  
zeniami na ziemi. Pocóż ci jeszcze  
latanie? Po co skoki na spadochro-  
nie?“

I mimo tego stuku maszyna  
parła nieprzerwanie naprzód.

A co się później stało? Czyż zale-  
żało to już od naszej woli? Szli-  
śmy, bo kolega nasz szedł, jeden,  
drugi, dziesiąty. Szliśmy w niezna-  
ne, bo żyłka awanturicza, która  
w nas tkwi, nie dawała nam spo-  
koju. Szliśmy, bo widzieliśmy w tym  
cel.







Lotnisko Ringway.

Niektórym wypadło długo czekać, żeby załadować się do samolotu. Niektórzy mieli więcej szczęścia. A wiadomo, jak okropnie męczące były właśnie te minuty czekania.

Sam skok, chociaż, nie było takiego, który by się go nie bał, nie był już tylko wynikiem naszej indywidualnej woli. Chociaż ona właśnie była decydującym momentem.

Gdybym przecież nie skoczył, toż by się kolega ze mnie śmiał. A co powiedzieliby Norwegowie, Francuzi, Holendrzy, którzy u nas się szkolili, i z nas brali przykład... no i Anglicy, którzy nam się przyglądali?

Tatton Park. Duża łączka — pastwisko.

Ileż baranów na niej pasących się i jednocześnie podziwiających nasze skoki, a szczególnie „gaszenie“ czaszy.

Kantyna, która nas gościła smacznym ciastkiem i herbatą.

Budka, a w niej lekarz, który był w każdej chwili gotów przyjść z pomocą mniej szczęśliwym.

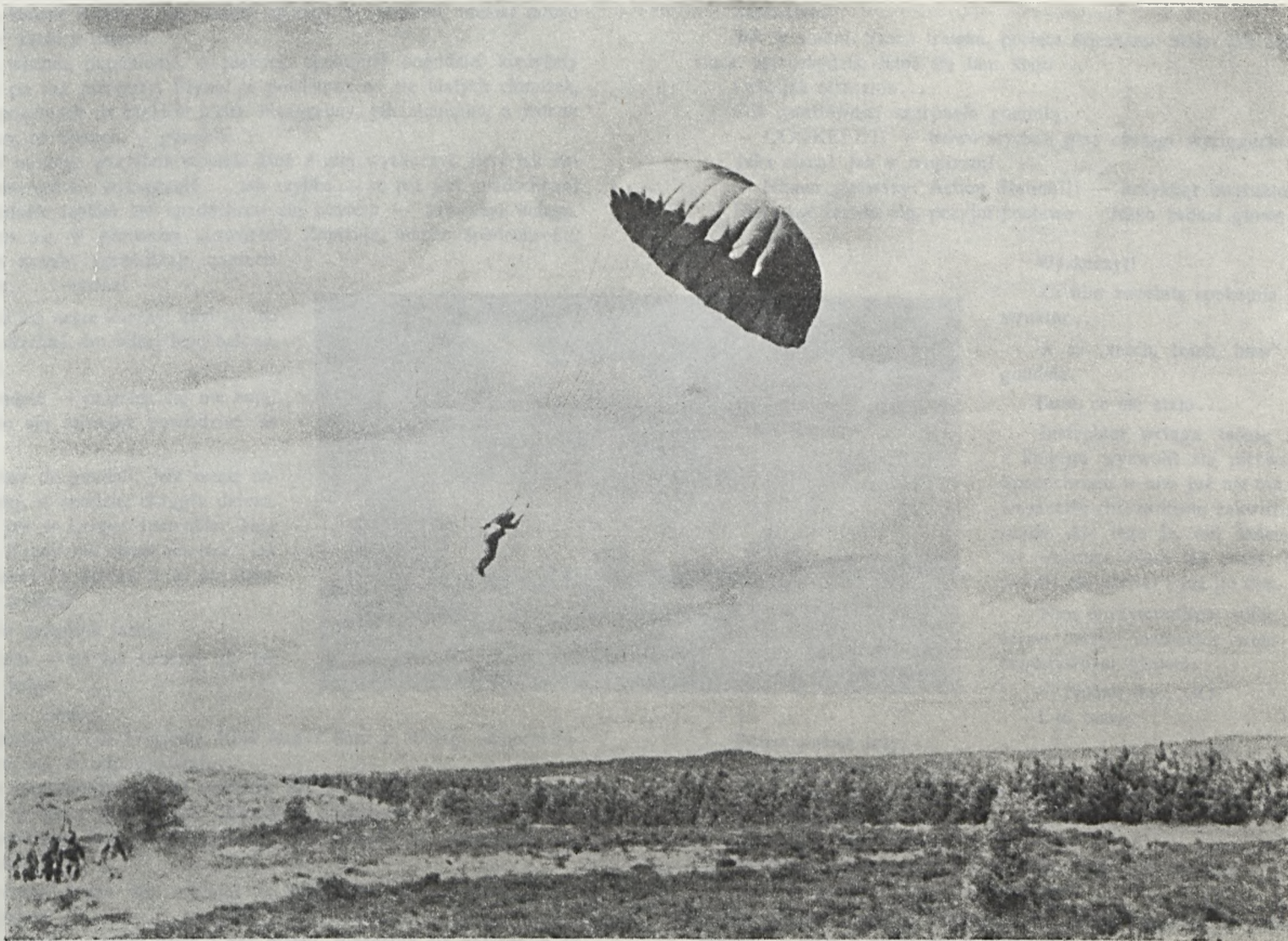
A ponad tym wszystkim, albo unosił się dumnie balon, warczał samolot, czy wreszcie rozlegał się głos instruktora:

— Numer czwarty nogi razem, nogi razem. Ziemia. Uwaga — tak, dobrze.



Instruktorzy w gondoli balonu





Spadochroniarz w locie



Photograph of the

Ach, ten balon! Każdy z nas zanim skoczył z samolotu, musiał odbyć dwa „próbne“ skoki z balonu.

Było to właśnie popołudnie, o pięknej, spokojnej pogodzie, kiedyśmy go zobaczyli po raz pierwszy. Płynął w powietrzu na tle białych chmur, tu i ówdzie posianych na błękitnie nieba, niezgrabny, jak słońiatko, a jednak lekki. Pod nim, na linkach — gondola.

W chwili naszego przyjscia właśnie ktoś z niej wyskoczył. Leci jak kamień! Nad nim coś się wyciągnęło... tak szybko... o, już jest spadochron!

— To jednak szybko ten spadochron się otwiera — zauważył kolega.

Znalazłem się w pierwszej „czwórce“. Zapisują numer spadochronu, jeszcze jakiś numer, sprawdzają zapięcie szelek, zamka... i marsz!

Chyba mi się serce kurczy, albo co, bo tak puka, ze słycać. Im bliżej tego balonu, tym głośniej.

Idę odważnie — przecież się nie boję! Niech by kto się odważył powiedzieć, że się boję!

Wchodzimy do gondoli. Jest wcale obszerna. W niej, w spodzie, okrągła dziura. Taka sama, jak w Largo! Instruktor każe nam siadać. Każdy ma swoje miejsce. Jak strasznie ciasno! Tu ściana, a tu już dziura! Czy nie wylecę?

Instruktor przypina taśmę.

Sprawdzam — bo tak kazano, ale już mi wszystko jedno.

— Okej! — mówię.

Potem instruktor coś krzyknął. Ktoś tam z dołu z obsługi samochodu-wyciągarki coś na to odpowiedział...

Silnik w samochodzie zaczął warczeć, czy brzęczeć. Balon się zakoleśsał... potem gondola się ruszyła. Chwyciłem kurczowo za uchwyty, umocowane w podłodze. Nie wiem skąd się tam wzięły. Nie widziałem ich, kiedy wsiadał.

Tak strasznie cicho się zrobiło! — Tylko ten brzęk motoru. Coraz słabiej go słycać...

Dookoła pustka — tylko balon i nas pięciu. Wszystko się kołysze w aż przejmującej grobowej ciszy.

Instruktor zagląda przez dziurę. Chyba też spojrzę... Tak niechący...

Zerknąłem!

Jak w studni. Szara trawka, pocięta ścieżkami, mały, jak zabawka dziecięca, samochodzik. Ktoś się tam kręci...

Och, jak strasznie...

Coś gwałtowniej szarpnęło gondolą...

— OOOKEEEJ! — ledwo słycać głos obsługi wyciągarki.

Jaka cisza! Jak w trupiarni!

— Numer pierwszy: Action Station!!! — krzyknął instruktor.

Pierwszy zerwał się, przyjął postawę... lekko zadął głowę...

— GO!

Wyskoczył!

Za nim zupełnie spokojnie spojrzął instruktor...

A tu „trach, trach, bum“ — jęknęła gondola.

Boże, co się stało...

Instruktor wciąga taśmę z workiem, z którego wyzwolił się pierwszy skoczek. Spadochronu w nim już nie ma. Rozwinięty wspaniałą chryzantemą zakwitł w przestworzach. Ale tego ja, ani żaden z kolegów nie widziemy. Nam się zdaje, że pierwszy pewnie się zerwał i już po nim.

Nim uprzytomiliśmy sobie, co się właściwie dzieje, instruktor woła spokojnym, sugestywnym głosem:

— Numer dwa, GO!

I to samo.

Potem numer trzy.

— Action station — GO!

Lecę! Lecę Lecę!!! Powietrze świszczce koło uszu!

Jak długo jeszcze?...

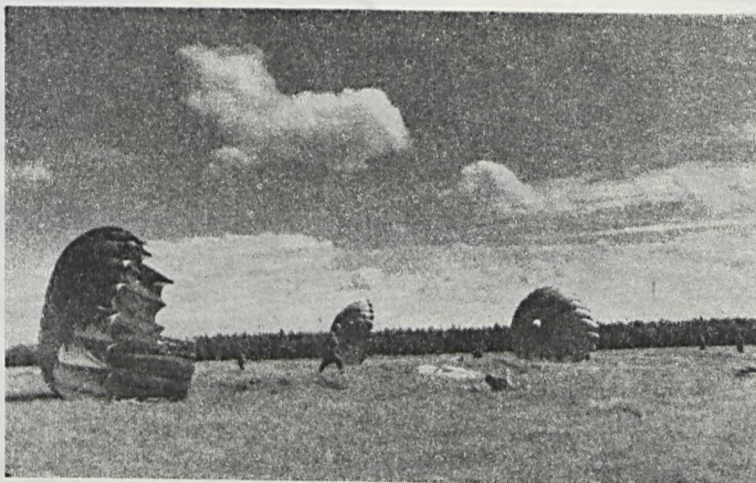
Wtem coś szarpnęło...

Nade mną czasza, słońce i chmurki... jak przyjemnie!

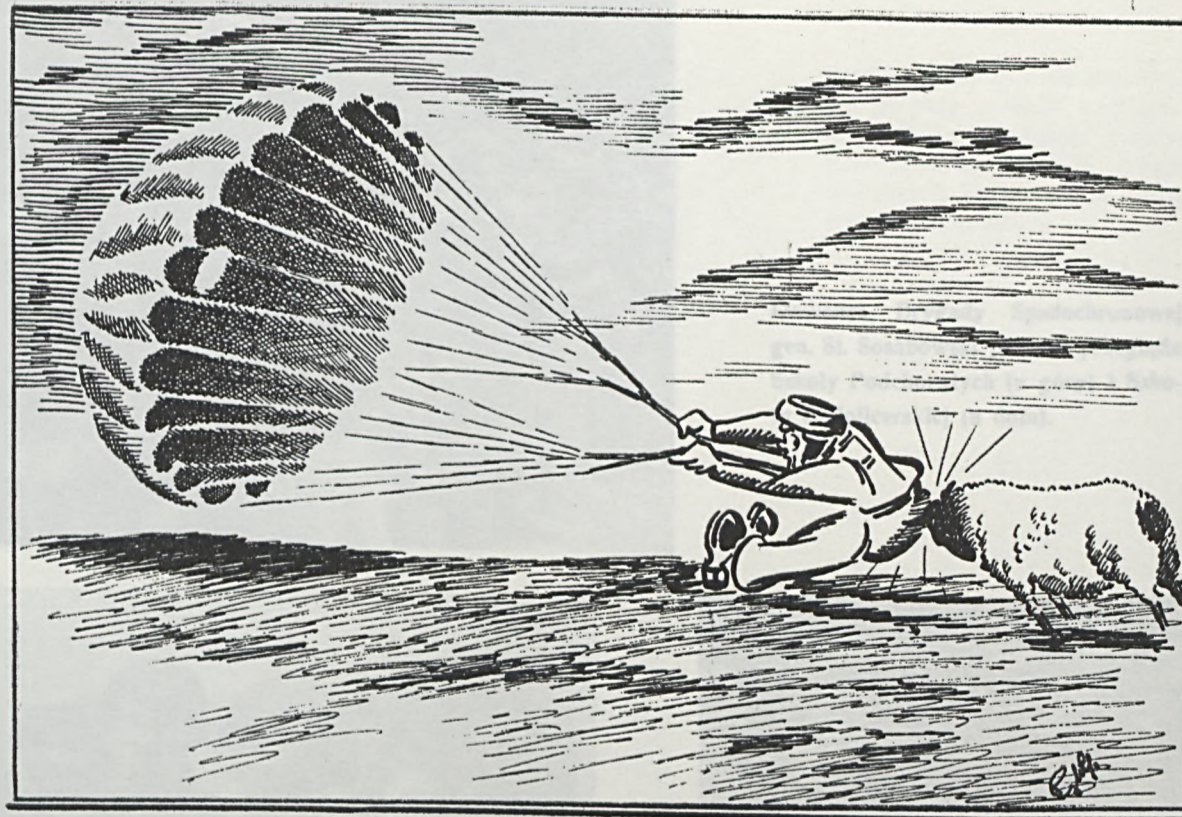
— Ach, jak byczo... — odetchnąłem.

— Numer czwarty! Poprawić się! Złapać wysoko za taśmy! — Tak, dobrze! — woła z ziemi drugi instruktor.

Z wysoka wszystko tak ładnie wygląda, że aż przyjemnie patrzeć. Łaski, domy... Coraz wyraźniej widzę kolegów...







Wtem...  
Nie wiem, co się stało...  
Ziemia gwałtownie zaczęła się do mnie przybliżać...  
— Uwaga! Ziemia! — krzyczy instruktor.  
Ledwom się spostrzegłem, a tu raz ziemia, raz niebo przede mną i bęc!  
Ach, już stoję!  
Wychodzę z szelek... Oooo! jak przyjemnie!  
Jakżeż szczęśliwym czułem się człowiekiem po odbytych skoku.  
Ciekawe, nie zauważyłem, by ktoś się chwalił z tego, że skoczył. Przeciwnie był zadowolony z tego, że „tak zrobił“, że ze „skretów“ wyszedł, że „tak wylądował“, że „ustał“.

Z Tatton Parku do Ringway — droga powrotna autobusem do koszar — to najprzyjemniejsza podróż!

Od czasu ukończenia przeszkolenia spadochronowego, wśród ćwiczeń i nauki, czas pędził zawrotnie szybko. Wnet opuszczamy Szkocję. Przechodzimy na nowe m.p. do środkowej Anglii. Skok już nie był największą atrakcją. Były nią raczej większe ćwiczenia. One to właśnie świadczyły o tym, że zbliżamy się szybko do akcji.

One to nieubłagane wykruszały nam i tak skromne stany oddziałów. W jednym z ćwiczeń straciło życie około trzydziestu kolegów.

Okres gorączkowego szkolenia. Brak sprzętu. Anglicy swoim, uświęconym odwieczną tradycją zwyczajem, na wszystko mają czas.





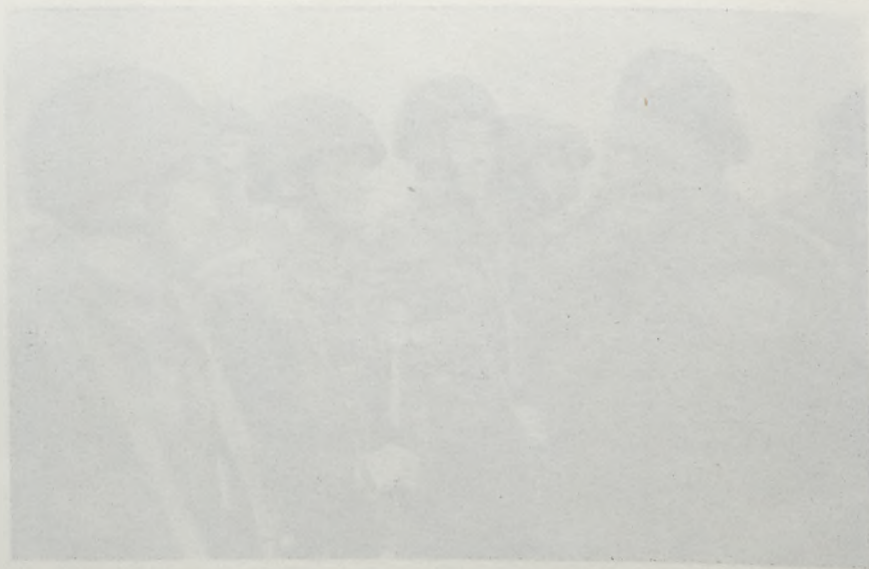


Dowódca Brygady Spadochronowej  
gen. St. Sosabowski podczas przeglądu  
Szkoły Podchorążych (u góry) i Szko-  
ły Podoficerskiej (u dołu).



Ha! Ha! Ha!

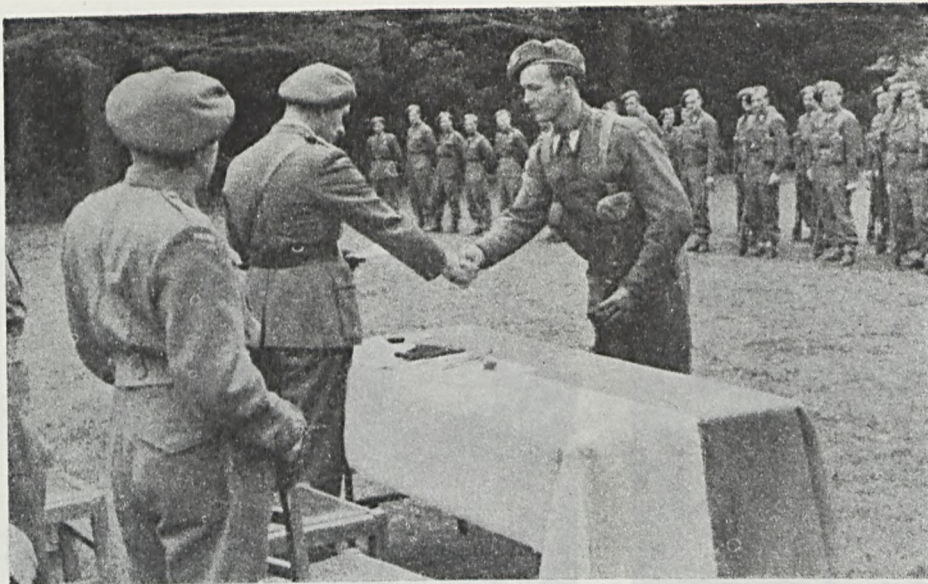




1st 1st 1st

1st 1st 1st  
1st 1st 1st  
1st 1st 1st  
1st 1st 1st





Podchorąży Tice — obywatel U.S.A., ochotnik Brygady w chwili otrzymywania dyplomu ukończenia Szkoły Podchorążych w Szkocji. (Poległ na polu chwały w Driel w Holandii. Pośmiertnie odznaczony Krzyżem Virtuti Militari).

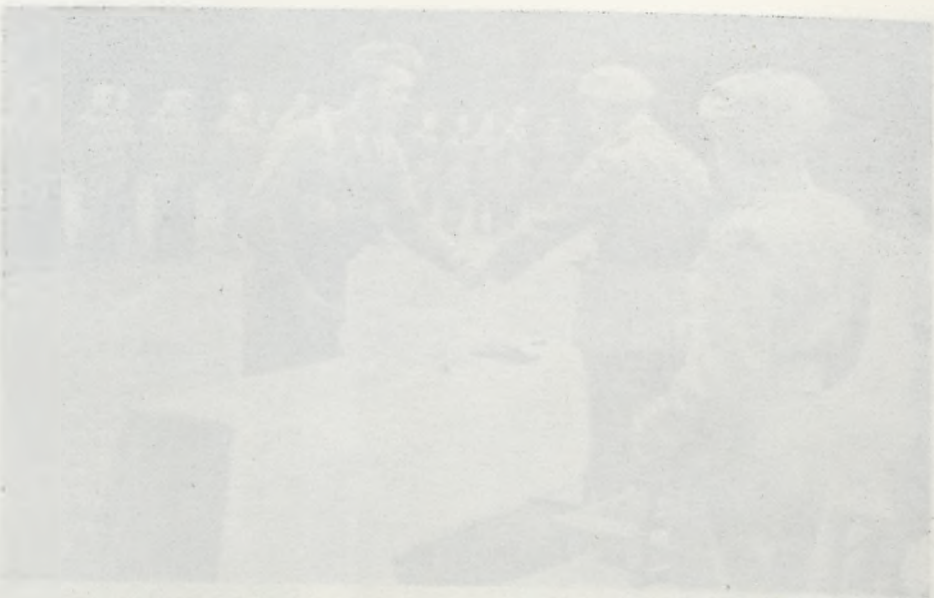


Nasi wodzowie po odznaczeniu.

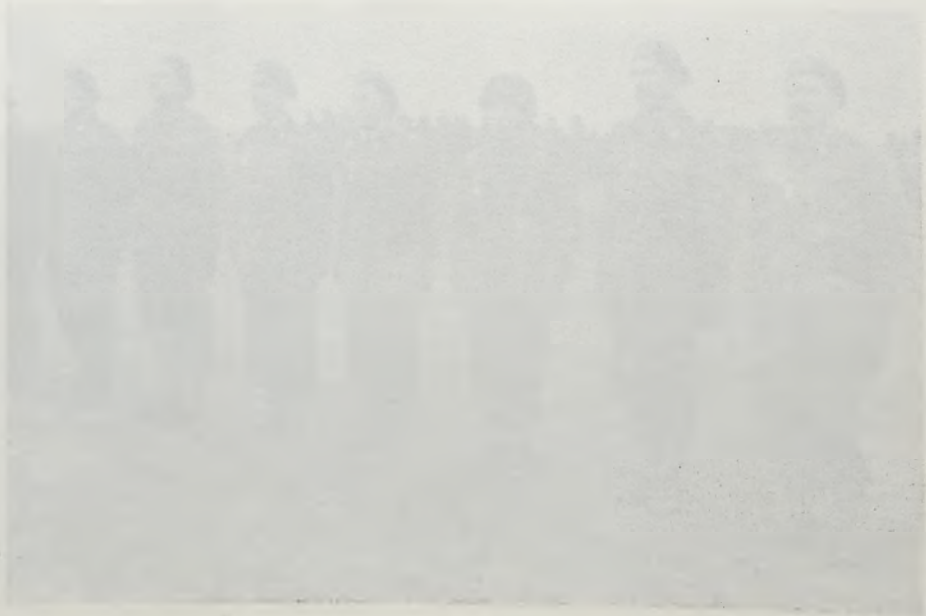


Wieża spadochronowa.

Polscy w USA — obywateli USA, w tym  
 ich rodziny w chwili wyjazdu do  
 Ameryki. Widać tu polską rodzinę  
 w chwili wyjazdu do Ameryki.



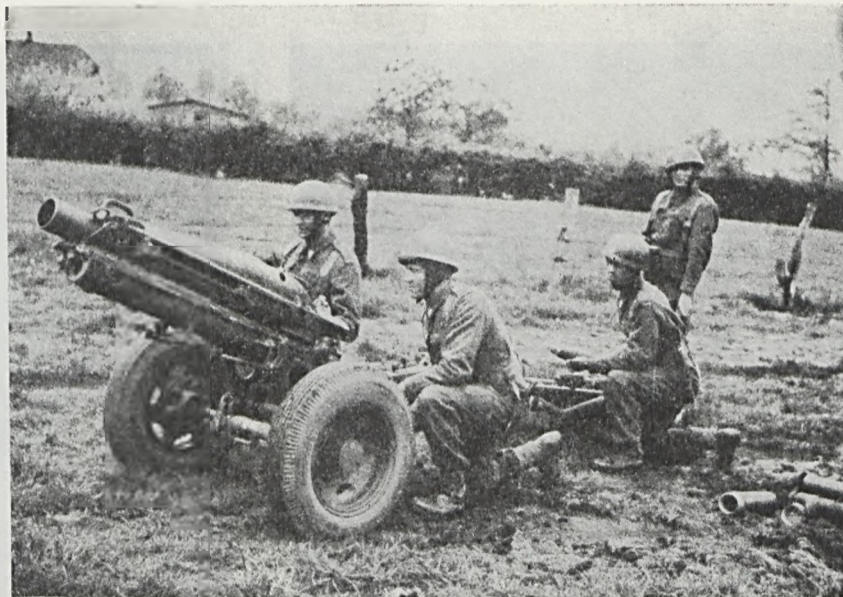
Ten widok  
 po wyjeździe



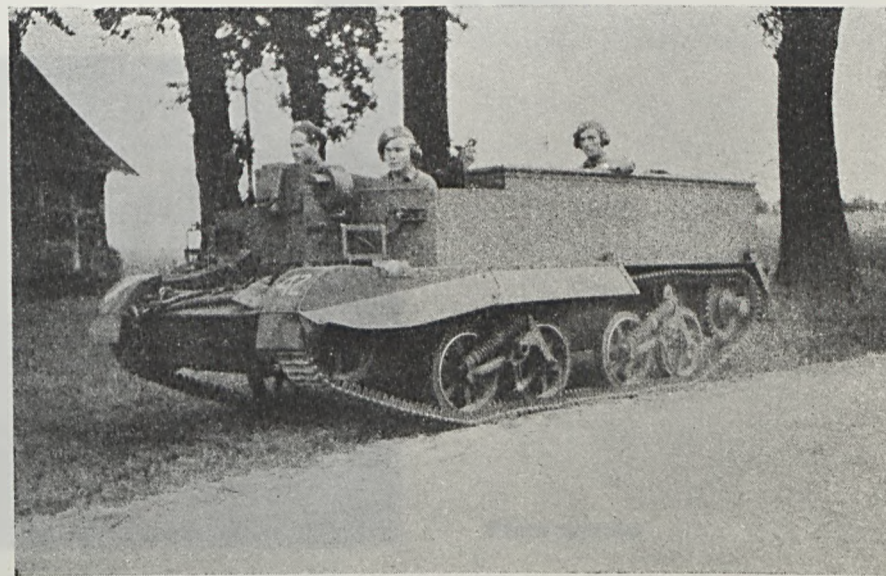
Wzrost polski



Tak się szkolili artylerzyści

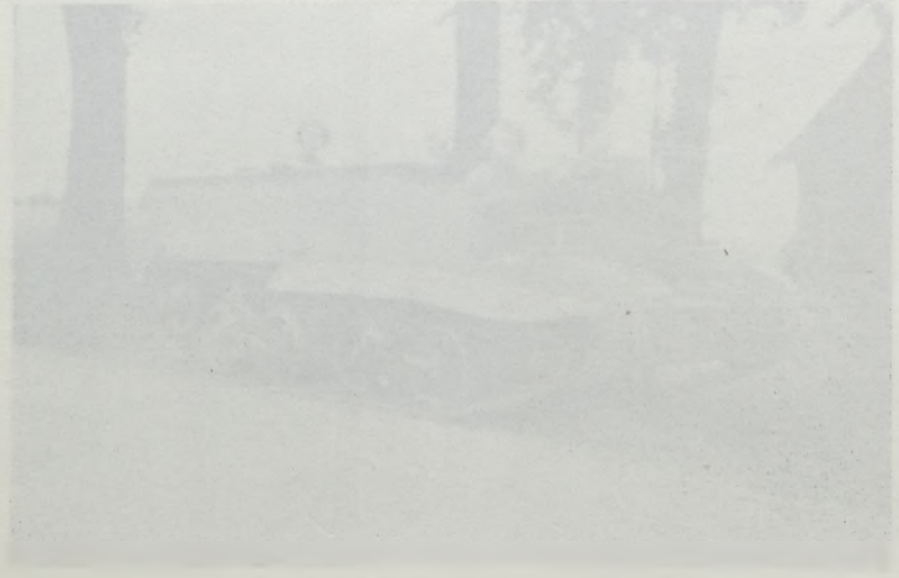


Działo na stanowisku — złośliwi mówią, że często po wylądowaniu brakło im lufy...

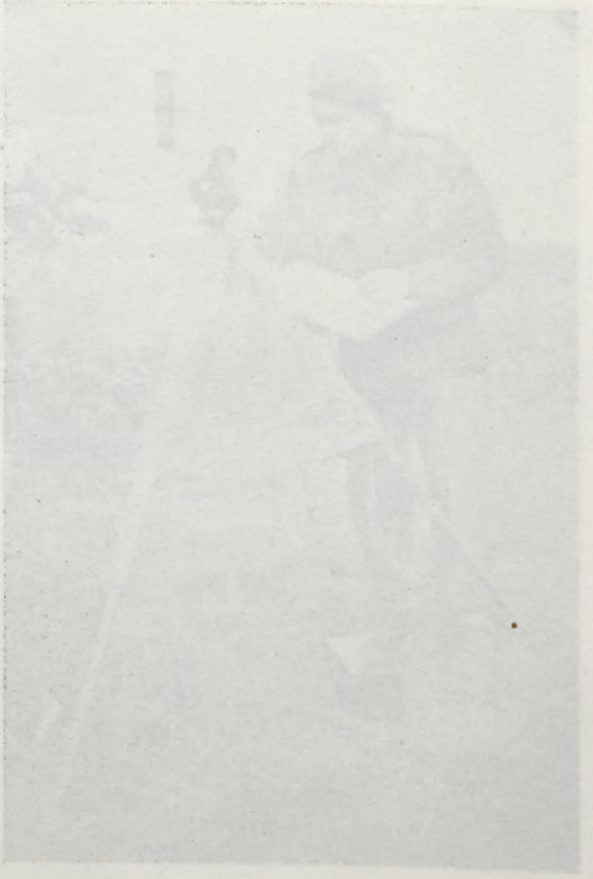


Zabrano jeep'y — dano carryery.

Dzień na  
 stanowisku —  
 robotnikowi  
 do czasu  
 po wyprowadzeniu  
 przeto im tu...



Zajęcia przy  
 danej pracy



Tak się robotnik wyraża



Naczelnny Wódz, gen. Anders w Brygadzie.



Skoczą?... nie skoczą?...



Praca saperów



...Tymczasem nie ...Tymczasem



Widok z domu w kierunku ...



Widok z domu





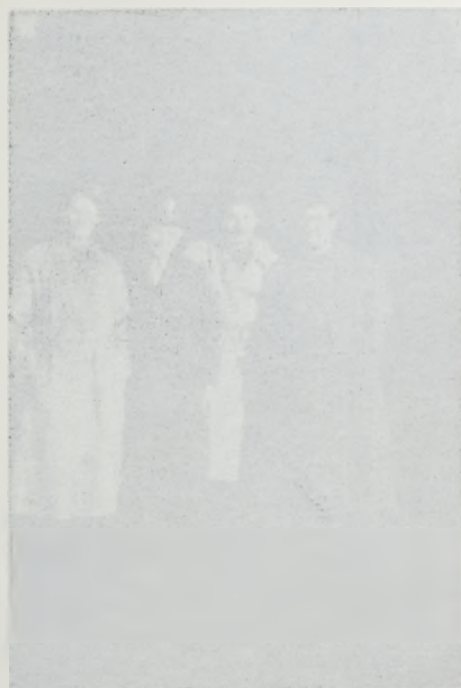
Monty z wizytą  
u nas w Szkocji.



Nasz przyjaciel Stanley Cieśla  
z Chicago.

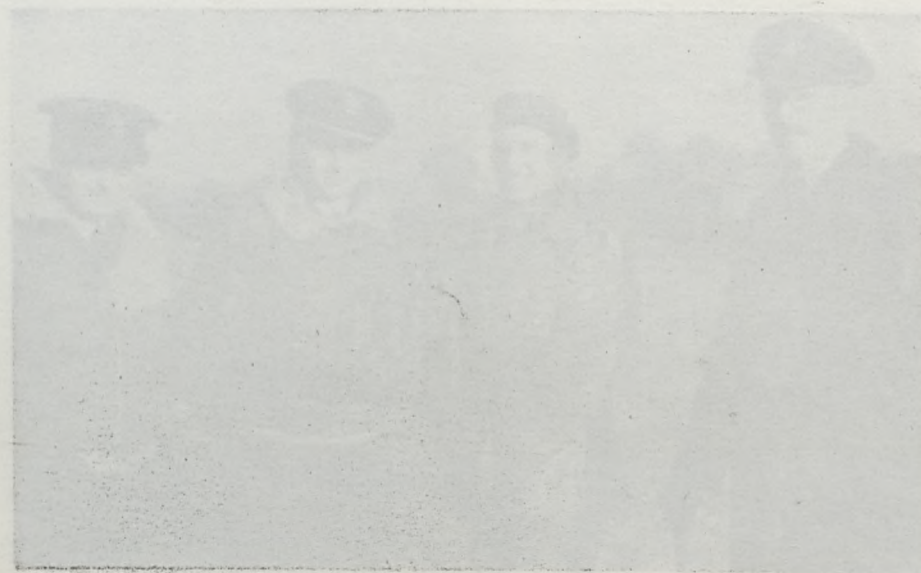
Pplk dypl. St. Jachnik  
wśród lotników.



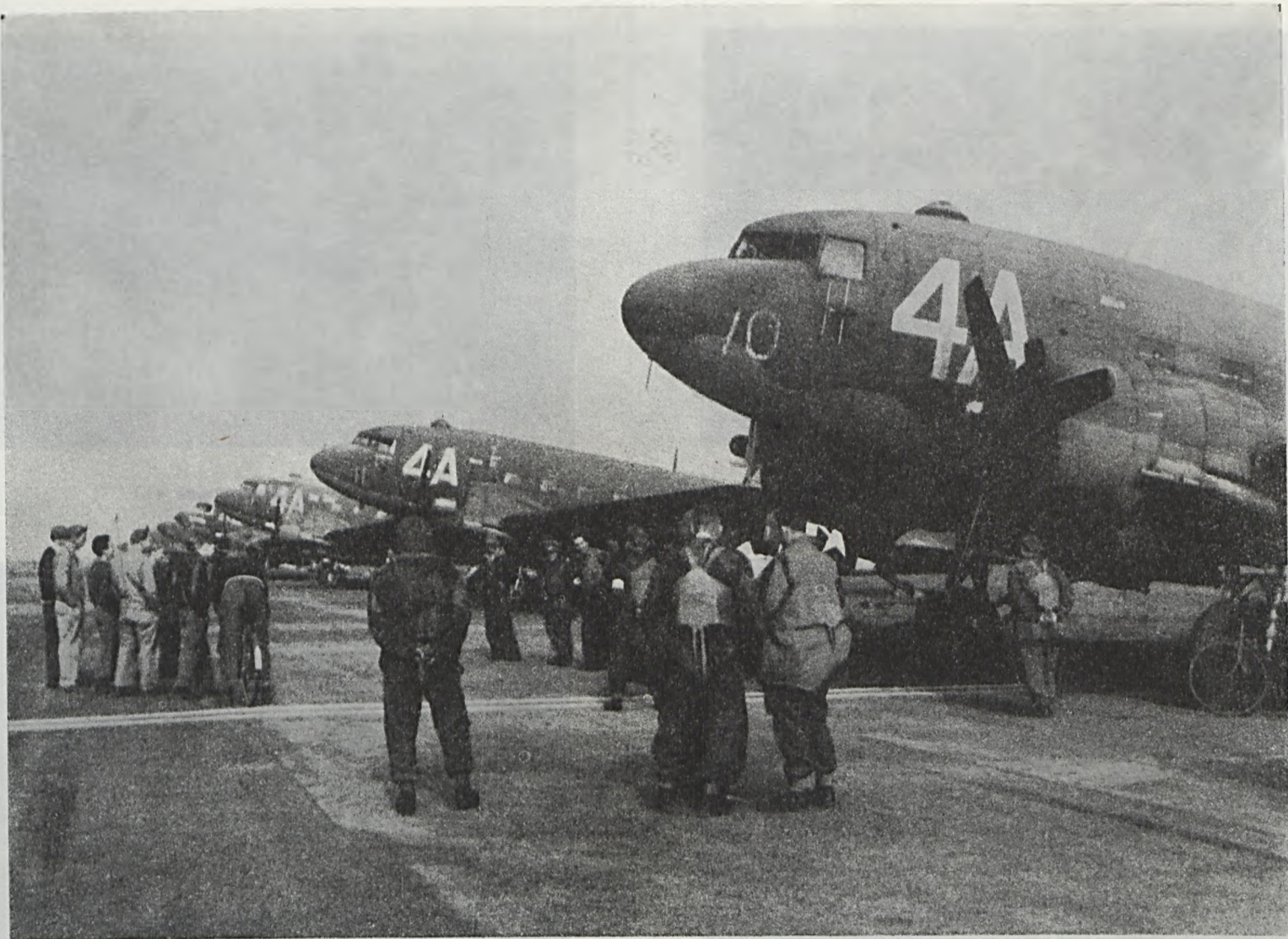


Przez przycięci Stanki Ciela  
z Chicago.

Wojak z wzięcia  
u nas w szkołach.



Przebiegi St. Jochana  
wobec żołnierzy.



Przed załadowaniem.



Person in field



Czy dobrze spakowany?



Pierona! Jak tu na chwilę odejść...



Zostało tylko jedno wyjście.



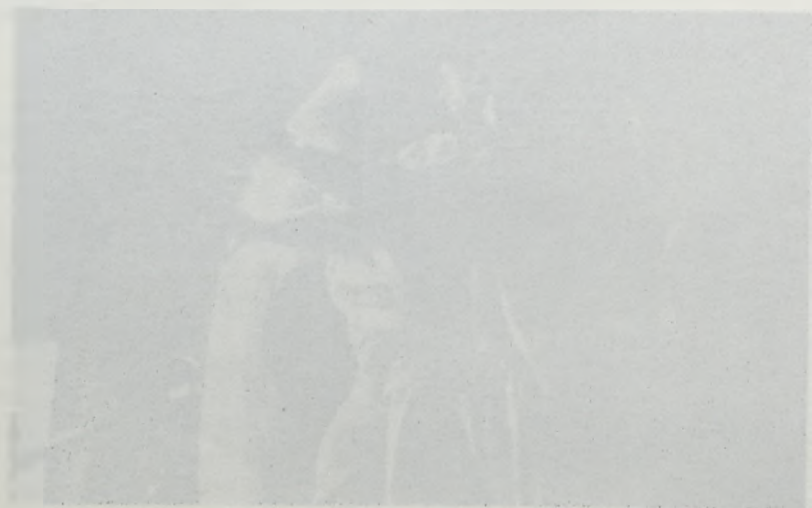
Sprawdź czy taśma przypięta!



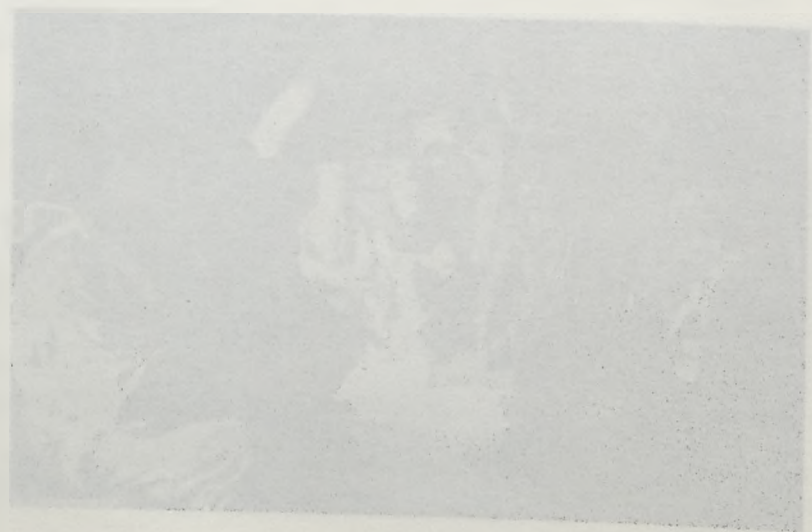
...[illegible] [illegible] [illegible]



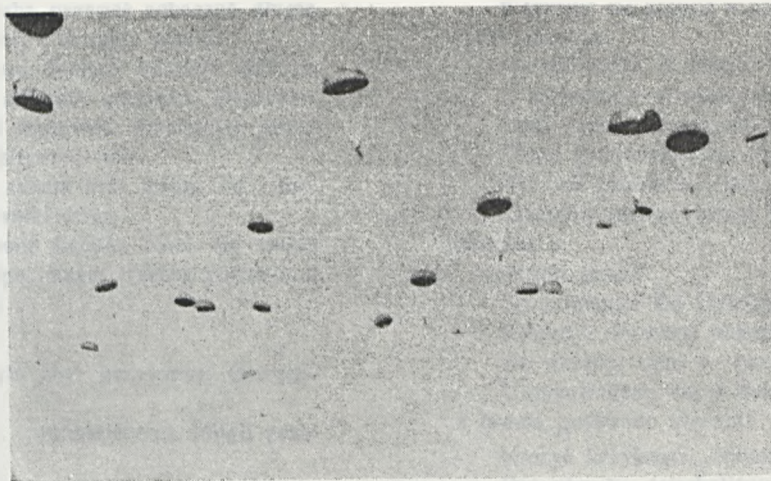
[illegible] [illegible] [illegible]



[illegible] [illegible] [illegible]



[illegible] [illegible] [illegible]



A nam się cholernie śpieszy!  
Przy szkoleniu na szybowcach przychodzą nam z pomocą Amerykanie.  
Pewnego dnia po południu przybyliśmy na amerykańskie lotnisko Spanhoe.

Amerykanie mówili mało. Raczej słuchali, przytakując głowami. Podczas jednej z rozmów padło pytanie:

— Ile szybowców wam potrzeba?

Znając trudności, jakie natrafiało się pod tym względem u Anglików, namyślałem się, ilu zażądać... pięciu, a może sześciu...

Przerwał mi jednak Amerykanin:

— No trzydzieści, sześćdziesiąt. — Ile pan potrzebuje? To wszystko co na lotnisku, jest do dyspozycji.

Pojąłem w tym momencie, co znaczy z rozmachem, po amerykańsku. Ćwiczenia się zaczęły. Ładowanie i rozładowywanie szybowców. Próbne loty. Wszystko, co potrzeba.

Byliśmy na lotnisku pierwszymi z Polaków. Amerykanie przyglądali się jak pracujemy. Od czasu do czasu o coś zapytali. Byli jak gdyby onieśmieleni.

Niektórzy z nich odwiedzali nas codziennie. Patrzyli raczej z daleka. Po pewnym jednak czasie jeden ze stałych „wizytatorów“ nieśmiało odezwał się po polsku.

— Wy Polacy?

— Tak.

— Ja też Polak. Z Ameryki, z Chicago. Ja dobrze nie umiem po polsku, ale rozumiem. Mnie matka nauczyła. Ona pochodzi od Gorlic. Ja tam jeszcze nie był, ale myślę pojechać jak się skończy wojna. Nazywam się Stanley Cieśla.

— Staszek?

— Yes!

Od tej chwili był już naszym przyjacielem. Opowiadał o wszystkim i o wszystkich w Ameryce. Podkreślał z pewną dumą, że w armii amerykańskiej jest bardzo dużo Polaków.

Częściej jednak pytał — jak tam w Polsce?

Przygotowania szły pełną parą!

Byliśmy jeszcze niezupełnie gotowi, kiedy zaczęła się inwazja.

Anim się spostrzegł jak przeszliśmy przeszkolenie na szybowcach.

Po pewnym czasie dostałem rozkaz pójścia do akcji — z Anglikami.

Meldowałem się w czwartej angielskiej brygadzie spadochronowej. Nie zupełnie sam, gdyż ze mną z Brygady było jeszcze dwóch radiooperatorów.

Rankiem w niedzielę przybyliśmy na lotnisko. Słońce z trudnością przenikało mgłą otulającą maszyny. Po pewnym czasie wystartowaliśmy.

Żegnam Brygadę, żegnam Anglię — wyspę i około godziny 13.00 nadlatujemy nad kontynent.

Jakiś pułkownik, Anglik, starszy dużo ode mnie jęgomość w okularach,



Jakie jednolite, Anglik, stary data ode mnie języczek w okularach, tajemny nad kontynent.

Starym językiem, takim Anglik — wspaniały i około godziny 13.00 nadzi-  
 ał jako mógł odwieść nasz. Po pewnym czasie wystawiliśmy.  
 Rankiem w niedzielę przybyliśmy na lotnisko. Stojąc z trudem przy-  
 kładnie sam, gdyż ze mną z Brygady było jeszcze dwóch radiooperatorów.  
 Mówiłam się w chwili, angielskiej przydziału szpachochronowej. Nie  
 Po pewnym czasie dostaliśmy rozkaz zejścia do wody — z Anglikami.  
 Aż się spotrzył jak przemiłny przestolecie na rybowcach.  
 Byliśmy jeszcze niezapewnić gotowi, kiedy zaczęła się inwazja.  
 Przygotowania były pełną parą!

Ciepłej jednak wody — jak tam w Polsce?

I o wszystkim w Ameryce. Podkreślał z pewną dumą, że w chwili zamieszka-  
 Od tej chwili był już naszym przyjaciele. Opowiadał o wszystkim  
 — Was!  
 — Starych?  
 Ciekaw.

nie był, nie mógł powiedzieć jak się skończy wojna. Narzynam się Stany  
 nie rozumie. Mnie miała narzyna. Ona pochodził od Górnicy. Jak tam jeszcze  
 — Ja też Polak z Ameryki, z Chicago. Ja dobrze nie umiem po polsku.  
 — Tak.

— Wy Polacy?

nie po polsku.

Po pewnym czasie jeden z nich zaczął mówić, nieśmiało odważył  
 się jak pracownicy. Od czasu do czasu u siebie jak gdyby onie-  
 byliśmy na lotnisku piwowaryni z Polakami. Amerykanie przygryzali  
 toż. Wszystko co potrzebne.

Chcieliśmy się zacząć. Jedzenie i rozkładowanie rybaków. Półna  
 Pojdem w tym momencie co zacząć z rozmową, po zamieszaniu.  
 na lotnisko jest do dyspozycji.

— No wszystko, wszystko. — Ja pan potrzebuję. To wszystko co  
 potrzebny mi jednak Amerykanin:

Wszystkim się im zaczął... pięknie, a może zacząć...  
 Książkę trochę, jakie naturalnie się pod tym względem z Anglikami.  
 — Ja odpowiedź wam potrzebny?

Wszystko z rozmów było pytanie:  
 Amerykanie nie mieli mieć. Książki trochę, przykładać głowami. Półna  
 Szpaniec.

Pewnego dnia po południu przybył na amerykańskie lotnisko  
 trzy szkolnie na rybakach przyjechał nam z pomocą Amerykanin.  
 A nam się chwila chwila!



czytał książkę, choć przekonywałem go, że trzeba przecież zobaczyć długie sznury szybowców, które szły obok nas z jednej i drugiej strony.

Z tego, że jest wojna, zdałem sobie sprawę dopiero wówczas, jak po płatach naszego samolotu zaczęły szczełkać odłamki pocisków nieprzyjacielskich. Zabawnie to wyglądało, jak własne myśliwce, przelatując przez szyk naszych samolotów, zwalczały na ziemi nieprzyjaciela.

Ziemi właściwie dużo nie widzieliśmy, bo zalana była wodą. Tu i ówdzie sterczały z niej małe wysepki domów i kawałki dróg.

Po pewnym czasie dzwonek, potem czerwone światło. Ruch się zrobił wśród nas. Przelatujemy nad jedną rzeką, drugą, potem trzecią, potem nad torem kolejowym; widać na ziemi spadochrony...

— GO!

Przywitanie na ziemi holenderskiej nie było zbyt przyjemne. Ostrzelowano nas z moździerzy.

Dziwiłem się: jak to tak można od razu... moździerzem. Mogli przecież czym innym witać.

Na zrzutowisku spotkaliśmy pierwsze objawy walki, rannych i zabitych. Swoich i wrogów.

Przemy naprzód!

Po kilku godzinach spostrzegam, że to nasze „parcie do przodu” odbywa się w iście złotym tempie.

Nocujemy w lesie. Pierwsza wizyta niemieckich bombowców. Strasznie rnieprzyjemnie.

Rankiem golimy się i ruszamy dalej! Dochodzimy wnet do miejsca gdzie ma lądować polski rzut spadochronowy.

Pole między laskami. Wśród huku dział i karabinów maszynowych zbliżają się samoloty holujące nasze szybowce.

Strasznie mi ich żal.

Równocześnie boją się o siebie, bo wszędzie lecą odłamki. Nie wiadomo skąd się biorą!

Jestem w lasku, mniej więcej ośmioletnim. Obok mnie kilku Anglików. Trochę dalej rozlokował się sztab brygady. Wszyscy oniemieli. Patrzymy co się nad nami dzieje.

Maszyny, holujące szybowce, lecą w szyku prawidłowym, potem, tak, jakby chciały lekko zboczyć. Lecą jednak wprost nad lądowisko. Wśród nich pojawia się coraz więcej małych okrągłych chmur.

Już pierwsze szybowce się odczepiły... podchodzą do lądowania.

Coraz większy huk i zgiełk!

Trafiony pociskiem czterosilnikowy Stirling wali się w przepaść.

Dalej Dakota odlatuje, z płonącym prawym silnikiem...

Wszystko się kotłuje w powietrzu. Wybuchy pocisków mieszają się z warkotem maszyn.

Na lądowisku — ruch!

Z szybowców wyskakują żołnierze. Wyciągają sprzęt...

Jakiś szybowiec rozbija się na lasku...

Coraz gwałtowniejsza strzelanina...

Oj! Coś niedobrze. Pada rozkaz przejścia na inne miejsce.

Zbieramy się za torem kolejowym. Dołączają do nas rozbitki z szybowców...

Dokąd teraz?

Na południe! Do Dywizji.

Którędy? Przecież wokoło Niemcy!

Za wszelką cenę — przebić się na południe!

Uszykowaliśmy się w kolumnę i jedziemy na jeep'ach przez las. Każdy z bronią gotów do strzału!

Któryś krzyknął: „Niemcy przed nami!”

Bez strzału dojechaliśmy prawie pod samo m.p. dowództwa Dywizji.

Dołączam do swoich. Wszędzie pokopane okopy. O! Tu też niewesoło!

Gońcy przebiegają raz po raz przez ostrzeliwany teren, przenoszą jakieś rozkazy.

— Ciebie szukają — odzywa się kolega — do dowódcy naszych ppanców.

Zagadnięty słysząc to pobiegł w kierunku dowództwa, by odebrać zadanie.

Ledwo zrobił kilkanaście kroków pocisk zmusił go do przerwania biegu i walki w ogóle. Padł z rozharataną nogą...

Biją w nas, ze wszystkich stron! Tak mi się przynajmniej zdawało.

Idziemy dalej, by wykopać sobie przyzwoite doły. Jest nas niewiele.

Po przybyciu na miejsce zabieram się do przyrządzenia herbaty.

Wtem coś zawyło w powietrzu. Skoczyłem do najbliższej dziury. Po chwili wychodzę.

Nie ma ani śladu z menażki, ani z plecaka, a miałem w nim kilka pomarańcz i cygara, które przed odlotem z Anglii ofiarował mi Staszek Cieśla.

Wszystko poszło!

Ale herbatę i tak sobie ugotowaliśmy!

Pytam kolegów, którzy są tu od dawna, jak sytuacja.

— Lepiej... — pada odpowiedź — nie pytać!

Udaliśmy się do dowództwa Dywizji. Hotel Hartenstein.

Rozlokowali się nienajgorzej. Czuję się tu bezpieczniej. Nawet jest Marek — nasz korespondent. W tym hełmie zupełnie mu nie do twarzy, na dodatek nigdy nie zapinał go pod brodą.





Szybowiec po lądowaniu.



Personne en l'habituel.

Śpimy gdzieś w kacie.

W trzecim dniu — jeszcze weselej... Jako łącznikowy chodzę wszędzie. Zaczynam rozumieć nasze położenie.

Z naszej wiary najwięcej zatrudnienia mają ppance.

Spotykam pilotów szybowcowych, Anglików, okopanych w ogrodzie. Pytają o naszą Brygadę.

— Powinna już tu być — odpowiadam.

Znowu moździerz...

Tak mi się zdawało, a raczej byłem tego pewien, że wszędzie gdzie się znajdowałem, tam najwięcej strzelali.

Przechodzę dalej do artylerii. Tam przygotowali stanowiska, że tylko lufy sterczą z ziemi.

— Hej, Maciek, jak się masz? — wołam do kręcącego się wśród Anglików naszego artylerzysty.

— A cholera! Chodzę i szukam snajperów. Te dranie z wszystkich stron strzelają. Byłem już nawet na wieży kościelnej, ale jak pocisk grzmotnął, to nie wiedział jak z niej zejść.

Czas upływał. W czwartym dniu walki powiedziano mi:

— Dziś powinna lądować wasza Brygada! — Przyjąłem tę nowinę z zadowoleniem. Zawsze wśród swoich — raźniej.

Tymczasem Niemcy ścisnęli nas wcale dobrze. Zabrali już prom i zniszczyli go. Z drugiej strony byli tuż koło kościoła. W ogóle znaleźliśmy się w worku.

W południe idę z kilku kolegami i obsługą radioaparatu w pobliże odnogi Renu. Czekamy na Brygadę. Ma lądować po przeciwnej stronie rzeki. Zmieniono im zrzutowisko.

Mają pecha. Nie zazdroszczę.

Widać, jak nasze myśliwce harczą po niebie. Potem zniżają się tuż nad ziemię i czyszczą ją. Coś się pali.

Po pewnym czasie dostrzegamy lecące samoloty. Dakoty!

To nasi.

Skaczą!

Coś ich mało!

— Halo Kuba! — próbujemy nawiązać łączność... jednak bezskutecznie.

Słychać odgłosy walki z przeciwnej strony.

Zapada noc.

Jeden z kolegów ma pójść na drugą stronę, by nawiązać łączność. Musi przepłynąć rzekę.

— Idziemy do artylerii, tam się przebiorę i płynę — powiada Kuba.

— Dobra, pojdę z tobą nad rzekę.

Wcale dobrze wyglądał: na sobie miał tylko kalesony i siatkę maskowniczą. Na to założył pas, nóż, pistolet i dwa granaty. Bez butów, w skarpetkach. Wysmarowany, jak szatan.

Ruszamy: on, Maciek, jeden Anglik na ochotnika i ja. Po cichutku przechodzimy nasze okopy, potem łączkę.

Jest rzeka. Szemrze, bełkoce. Gdzieś daleko jakiś strzał. Po czym kilka pocisków artyleryjskich.

— Płyniesz, Kuba? -- pytam szeptem.

— Zaraz!

I cisza. Długa, nieprzerwana.

— Płyniesz? — szepnąłem po pewnym czasie.

— Już!

Wsunął się łagodnie do wody. Płynie. Ledwo go widzę. Słyszę coraz mniej.

Ze wzgórza, naprzeciwko promu zagrały karabiny maszynowe...

— Boże — westchnąłem — żeby go tylko te cholery nie ukatrupili...

Po pewnym czasie z przeciwnej strony rzeki zauważyłem zielone światełko.

No, to chyba szczęśliwie przepłynął.

Wracamy.

Nasz Anglik miał nielada przeżycie, skoro powiedział kolegom:

-- Jeśli szukacie kłopotów to idźcie z Polakami, znajdziecie je na pewno!

Zaczęliśmy gwarzyć, i domyślać się jak też ten Kuba przepłynął i co nam za wiadomości przyniesie.

Na tym zeszała nam cała noc.

Następnego dnia Kuba wrócił.

— No i co, spotkałeś naszych? — pytałem. — Jak się czują? Co robią? Kiedy przyjdą tutaj?

— Całkiem im tam dobrze. Sosab wyczynia cuda. Zdobył gdzieś damski rower. Jeździ na nim i zagrzewa angielskich czołgistów do walki.

— Zawsze mówiłem, że to oryginał. Ma chłop pomysły.

— Tej nocy mają się tu do nas przeprawiać.

— Ale jak? Przecie prom, jedyne przejście, zniszczony!

— Będą mieli łodzie, tak przynajmniej Anglicy obiecali — ale zresztą wiesz czym to się zwykle kończy.

Zaczynamy przygotowania, by ich przywoicie na nasz teren wprowadzić.

Zapada noc. Każdy z nas, Polaków, ma swoją funkcję. Jedni przy rzece, inni jako przewodnicy. Ja mam odbierać przepływających się i przekazać ich kolejno do angielskiej brygady szybowcowej. Mają tam otrzymać zadania.

--- Dobry, pojść z tobą nad rzekę.  
 --- Idziemy do artystów, tam się przetrze i ptynę -- powieła Kuba.  
 przetrze rękę.  
 Jedną z koleżanek ma gdzieś na drugą stronę, by nawrócić ją. Musi  
 zapisać noc.  
 Słychać odgłosy walki z przeciwną stroną.  
 --- Mówi Kuba! -- przedziwny nawpływ jaśnieje... jakbyś doznała.  
 Coś ich ma! /  
 Szczęść!  
 To nasz.  
 Po pierwszym czasie dostarczamy lepszemu samoloty-Dakoty!  
 nad ziemię i wystrzał jej. Coś się pali.  
 Widać, jak nasze myśliwce harcują po niebie. Potem milczą się tam  
 mają paczkę. Nie zachowują.  
 Znamienno im rozmawiają.  
 W polodzie idą z kilku kolegami i obdarzą radiopaparata w pobliżu ob-  
 cych. Wymiarstwo słychać, jak wcale dobrze. Kuba! jest prom i znie-  
 dowolniam. Zawsze widać światła -- rżnięć!  
 --- Daj powinnam być wam. Wzrostem się powiększają mi.  
 Głaz upływał. W czwartym dniu walki powiększają mi.  
 tam nie widać jak z niej zejść.  
 strachają. Byłoby już nawet na wieży kosmicznej, ale jak podziś granitami,  
 --- A chwała! Chwała i szacunek naszym. To dranie z wystrachem stron  
 kilka naszych artystów.  
 --- Hej, Mado! Jak się masz? -- wołam do koleżanki się widać Ang-  
 licy sterczą z niebem.  
 Przechodzą dalej do artystów. Tam przygotowani stanowiska, że tylko  
 znajdowaliśmy tam najwięcej strzałali.  
 Tak mi się zdawało, a raczej system tego powie, że walczyć gdzie się  
 znów znajdujemy...  
 Kuba! ma! --  
 --- Powinam być to być -- odpowiedział.  
 Taką a taką przysięgę.  
 Spojrzam później zadowolony. Anglików, okopanych w ogradzie. Pz-  
 Kaczymam rozumiem nasze podziwianie.  
 W trzecim dniu -- jeszcze widać... jako specjalny chodzą walczyć.  
 Spiny gdzieś w polodzie.

Wcale dobrze wyglądał: na sobie miał tylko kalesony i ciastki maslowe-  
 niek. Na to wszystko par, nóż, pistolet i dwa granaty. Bez butów, w szar-  
 polkach. Wymiarowanie, jak strażak.  
 Rozmawiamy: on, Mado! jeden Anglik na ochotnika i ja. Po ciastkach prze-  
 chodząmy przez okopy, potem jeszcze.  
 Jest rzeka. Szumnie, potocznie. Źródło daleko jakieś strażak. Po czym kilka  
 podziwianie artystów.  
 --- Płyniesz, Kuba! -- pytam zszepsem.  
 --- Kawa!  
 I czas. Długa, nieprzerwana.  
 --- Płyniesz? -- zapytaniem po pewnym czasie.  
 --- Jest!  
 Wsuwa się łagodnie do wody. Płynięcie. Ledwo go widać. Spływa coraz  
 dalej.  
 Na wzdłuż, naprzeciwko promu zarysują się lądowiska maszynowe...  
 --- Bona -- widać! -- tak, że tylko to cholewa nie ukazuje...  
 Po pierwszym czasie z przeciwną stroną rzeki zauważymy widoczne  
 twierdze.  
 Nie to chyba szczególnie przysięgę.  
 Wzrostem.  
 Plan Anglik miał niebawem przysięgę, szero powiększają kolegom.  
 --- Jeśli znaleźć kłopotów to idźcie z Polakami, znajdując się na powie!  
 Zaczynają gwarzyć i domyślać się, jak tam ten Kuba przetrze i co  
 nam za wiadomości przyniesie.  
 Na tym czasie nam coś noc.  
 Następnie dnia Kuba widać.  
 --- No i co spotkał nas? -- pytam. -- Jak się czujesz? Co robisz?  
 Kiedy przysięgę tutaj?  
 --- Gdzieś im tam dobrze. Sześć wycofania cucha. Zdobczy gdzieś dżamali  
 rower. Jedni na nim i zagrzewać angielskich ciastków do walki.  
 --- Zawsze mówiam, że to czyta. Ale czego pomysł.  
 --- Ten noc, mają się to do nas przetrwać.  
 --- Ale jak? Przecież prom, jedyną przysięgę, zniszczony!  
 --- Będę miał bodzie, tak przetrwać! Anglików, obciążeni -- ale zwracaj  
 wiesz czym to się zwykła kończy.  
 Naczymy przygotowani, by ich przetrwać. Na nasz teren wprowadzają.  
 Zapada noc. Kuba z nas, Polaków, ma swoje funkcje. Jedni przy trasie,  
 inni jako przewodnicy. Ja mam obowiązek przetrwać i przetrwać  
 ich koleżanki do angielskiej przysięgi. Mają tam strażak zabijać.

Około godziny drugiej nad ranem przychodzi pierwsza partia. Jest wśród nich jeden Anglik — major.

Są straszliwie wymęczeni! Proszą o herbatę. Pytają o sytuację, w jakiej się znaleźli.

— Pobędziecie chwilkę, a sami się przekonacie. W każdym razie jest tu niewesoło. Wydaje mi się, że to się nieszczęśliwie skończy.

Odprawiam jedną partię, do szybowników, potem drugą i tak następne, które kolejno nadchodzą z przeprawy. Niewielu ich. W czasie przeprawy bowiem, a częściowo już przedtem wszystkie łodzie zostały zniszczone lub zatopione.

Po nieprzespanej nocy chodzę po całym „worku“ i nie mogę znaleźć sobie miejsca. Tu i ówdzie spotykam grupki naszych żołnierzy czekających na zadanie. Jedna kompania już siedzi w rejonie gazowni.



Chorąży Tlałka.



Porucznik Stojkow.

Część baonu trzeciego obsadziła północno-wschodni cypel, obok dowództwa Dywizji.

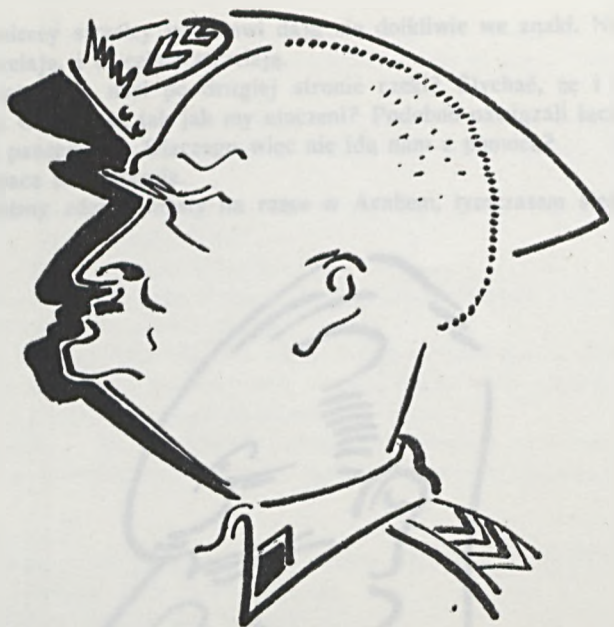
— Niech to kule biją — myślę sobie — ale im znaleziono przyjemne odcinki. Będą mieli co robić.

Przyglądam się Anglikom. Okopani nieźle. Wszędzie pełno dziur. Koło dowództwa stos trupów. Nie ma czasu, by ich pogrzebać. Na korcie tenisowym jańcy. Jest ich przeszło dwustu. Też sobie pokopali okopy.

Tak właściwie rzecz biorąc, to Anglicy siedzą w tych dziurach już kilka dni. Ani się nie posunęli naprzód, ani cofnęli.







**Chorąży Gołębiewski.**

Przecież coś mogliby zrobić, zamiast siedzieć dzień i noc w okopach. Żelazo wali im się na głowy, a oni nic. Tak cierpliwie potrafią ginąć. Na ich twarzach widać zmęczenie, czy powątpiewanie.

Cieszą się, gdy widzą coraz więcej Polaków. Dodaje im to otuchy.

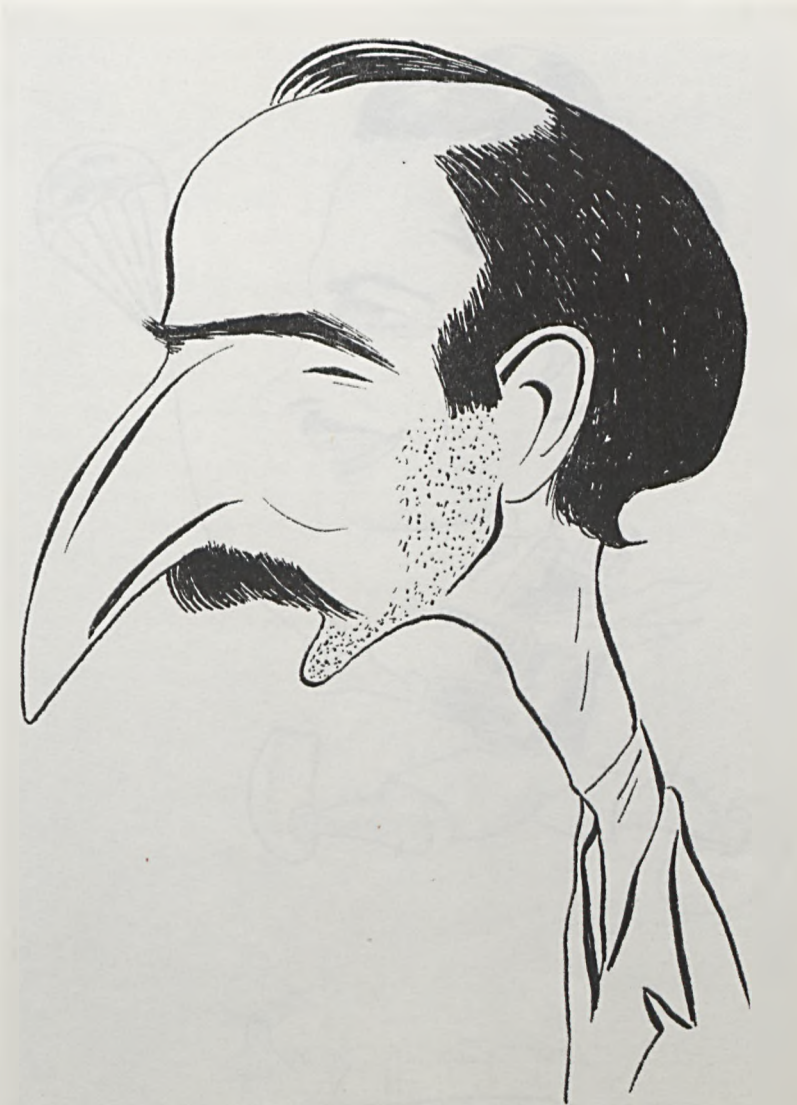
Idę do oddziałów szybowcowych. Drzewa nieco się zmieniły. Sporo gałęzi strąciła artyleria. Tak, wojna zmienia krajobraz.

Na pagórku spotykam naszych moździerzystów z trzeciego baonu. Dowódca ich poległ.

Od dowódcy szybowników dowiaduję się, że dostali porządne cięgi. Mają dużo rannych i zabitych. W artylerii też nic nowego.

Ogrodami podchodzę do Alberta. Siedzi w dziurze na odcinku gazowni. Obok niego kilku zabitych. Niechcący potrafiłem jednego z nich.

— Uważaj, bo tuż przed tobą, o kilka kroków, siedzą w ogrodzie SS'y. Pierunów nie widać, ale pyk — i już ktoś leży — powiada Albert.



**Porucznik Mondelski-Roch**



Francis Woodhouse



Charles Woodhouse

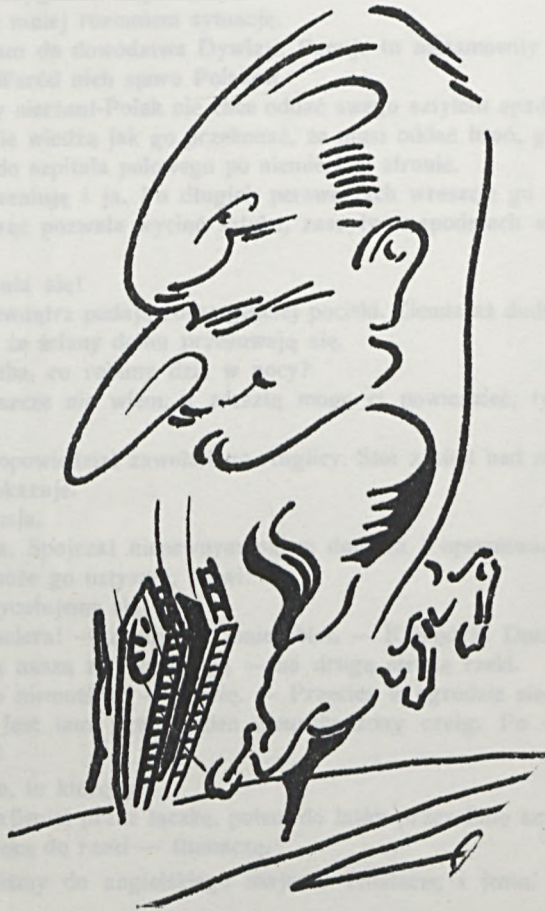
Przedmiotem niniejszego jest...  
 Zdaniem moim nie ma...  
 Istotną rolę...  
 Od...  
 Najlepiej...  
 Ogólnie...  
 Co...  
 —...  
 Tymczasem...

Niemiecy strzelcy wyborowi dają się dotkliwie we znaki. Nie wiadomo skąd strzelają, i to celnie strzelają.

Co leż robią nasi po drugiej stronie rzeki? Słychać, że i tam walka się toczy. Czy też są tak jak my otoczeni? Podobno nawiązali łączność z oddziałami pancernymi. Dlaczego więc nie idą nam z pomocą?

Rozpacz mię ogarnia.

Mieliśmy zdobyć mosty na rzece w Arnhem, tymczasem siedzimy tutaj



Choraży Dobrzyński



Kapitan dypl. Czołowski



Portrait of the Artist



Portrait of the Artist

Milijny zrobić może na wcz w Archiwum pałacem siedziby tutaj  
Rozpoznać nie ogarnia.  
działani pałacem. Dlaczego więc nie idź nam z pomocą?  
nie łodzi. Czy też są jak my odczyna? Podobno nazwiska i ob-  
Co jest tobie nami po drugiej stronie rzeki? Słychać, że i tam widać  
lady strzelają. I to cennie strzelają.  
Niezłomny strzelec wyrowowi daje się dobić w rzekę. Nie wiadomo

w Oosterbeck i nie zanosi się na to, byśmy mogli się ruszyć. Co gorzej, jak mówił kolega — Anglicy wybrali się zdobywać mosty na raty... no i na raty dostali po głowie.

Znowu przygotowania do jakiejś przeprawy. Nawet zbierają Dinghy, małe czteroosobowe łodzie gumowe. Znaleźli ich raptem cztery, czy sześć. Ilu się na tym przeprowi?

Niedość, że nasi dotychczas nie zdołali się przeprowić, a tu mówią jeszcze o brygadzie angielskiej!?

Coraz mniej rozumiem sytuację.

Wracam do dowództwa Dywizji. Panuje tu niesamowity ruch. Jest dużo rannych. Wśród nich sporo Polaków.

Ranny sierżant-Polak nie chce oddać swego sztyletu spadochronowego — Anglicy nie wiedzą jak go przekonać, że musi oddać broń, gdyż będzie ewakuowany do szpitala polowego po niemieckiej stronie.

Interwenuję i ja. Po długich perswazjach wreszcie go przekonałem. Płacząc pozwala wyciąć sztylet, zaszyty w spodniach spadochronowych.

Ściemnia się!

Na zewnątrz padają coraz gęściej pociski. Ziemia aż dudni. Nieraz zdaje się, że ściany domu przesuwają się.

— Kuba, co robimy dziś w nocy?

— Jeszcze nie wiem, a zresztą mogę ci powiedzieć, tylko trzymaj głowę.

Nim opowiedział zawołali go Anglicy. Stoi z nimi nad mapą i coś na niej pokazuje.

Dyskusja.

Wraca. Spojrzał niepewnym okiem dookoła i upewniwszy się, że nikt nie może go usłyszeć, mówi:

— Wycofujemy się!

— Cholera! — zimny pot mnie oblał. — Którędy?! Dokąd?!

— Tą naszą zwykłą drogą — na drugą stronę rzeki.

— To niemożliwe — mówię. — Przecież w ogrodzie siedzą już od rana Niemcy. Jest tam nawet jeden nieuszkodzony czołg. Po cholere tamtędy się pchać!

— No, to którą?

— Najlepiej przez łączkę, potem do lasu przez linię szybowników i dalej tą dróżką do rzeki — tłumaczę.

Poszliśmy do angielskiego majora. Tłumaczę i jemu. Pokazuję trasę na mapie.

— Okey — powiada — będziesz prowadził!

Zgodziłem się.

Przygotowujemy się. „Będziemy musieli zapewne przepływać rzekę“ — myślę.

Zatrzymujemy tylko pistolety i granaty. Wszystkie inne niepotrzebne graty jak bielizna i temu podobne, niszczymy. Sprzęt przeznaczony na pozostawienie rozbijamy.

Słychać jak radiotelegrafista nadaje rozkaz przygotowawczy do jakiegoś większego natarcia.

Zbiórka. Odprawa.

— Wszyscy cofamy się na drugą stronę rzeki — mówi Anglik. — Dlatego podzieleni jesteśmy na grupy. Nasza grupa wychodzi o godzinie ósmej wieczorem.

— Prawdopodobnie będziemy musieli przebić się przez linię Niemców. Walki nie wszczynamy. Kto będzie lekko ranny dostanie pierwszą pomoc i zabierzemy go. Ciężko ranny, będzie opatrzony i pozostanie.

— Czy wszyscy się na to zgadzają? — kończy odprawę.

Wszyscyśmy przytaknęli głuchym milczeniem.

— Boże, żebym w tej sytuacji nie został ranny — błyskawicą przelatuje mi przez głowę.

Tymczasem na zewnątrz szalało całe wojenne piekło. Zdawało się, że ziemia się trzęsie.

— Kuba, gdzie jest Marek? Muszę mu powiedzieć, żeby w czasie marszu przynajmniej stapał ciszej. On człapie, że słychać go na kilometr. Może całą robotę zawalić!

— A hełm niech sobie tym razem podepnie — dodałem.

Ruszamy.

Aż przykro wyjść z tej piwnicy. Dokoła wszystko dudni. Przechodzimy przez dobrze mi znany ogród. Potem przez płot żelazny na drogę, i dalej do szybowników. Z prawej — zagrał karabin maszynowy.

Przed nami przykucnęła jakaś grupa.

Podchodzę, pytam o dowódcę. Wskazują na przedzie. Idę dalej, i wzbudzony jego nieostrożnością czynię mu wyrzutę:

— Idźcież do pierona! Na co czekacie? Tak wygląda jakbyście chcieli dostać po głowie! GO! — świsnąłem mu w ucho.

Poszli.

My, za nimi.

Mijamy mały stawek, potem domki, w tym — wziup! — jak nie świsnie koło nas pocisk artyleryjski... znaleźliśmy się wszyscy na ziemi.

Z przodu, wprost na nas, lecą pociski świetlne, mijają nas wysoko. Po prawej jakieś zielone rakiety.



Nasza  
odznaka bojowa.





Przechodzimy obok stanowisk artyleryjskich, i już jesteśmy w długiej kiszce czekających na łące przed rzeką na przeprawę.

Czuję się tak, jakbym już był po tamtej stronie, wśród swoich.  
Zaczyna się.

Z pagórka, naprzeciwko promu, od czasu do czasu szczeka karabin maszynowy, to znowu błyskają zielone, żółte rakiety. Nasza artyleria wprost szaleje, osłaniając nasz odwrót. Nie chciałbym być w skórze, będących w jej zasięgu Niemców.

Jestem przekonany, że Niemcy nie zdają sobie sprawy z naszej tu obecności. Gdyby wiedzieli, wyłukliby nas doszczętnie.

Dochodzimy kolejno do łąki. Jest ich tylko kilka.  
Płyniemy.

Nareszcie na „ziemi obiecanej“.

— Tu stali nasi — ozwał się Kuba. — Zaraz ich spotkamy.

Gwarząc o tym, cośmy przeżyli po tamtej stronie, zapaliliśmy ostatniego papierosa. Idziemy wzdłuż białej taśmy. Nasza trasa odwrotu.





1. W sprawie...  
 2. W sprawie...  
 3. W sprawie...  
 4. W sprawie...  
 5. W sprawie...

1. W sprawie...  
 2. W sprawie...  
 3. W sprawie...  
 4. W sprawie...  
 5. W sprawie...



Przechodzimy Driel, gdzie krwawiła nasza Brygada. W jednej ze stodół otrzymujemy pierwszy po długim czasie ciepły posiłek. Kieliszek rumu na dodatek. Dobry był; tak dobrego nigdy chyba nie piłem.

Dalsza droga — to już komfort. Jedziemy samochodami. Po pewnym czasie znaleźliśmy się w dużym domu. Przydzielają łóżka, ale spać się nikomu nie chce.

— Może by tak coś zjeść — mówię do Kuby.

Szukamy. Światła nie ma. Po omacku wchodzimy do jakiejś sali. Kilka świec rozprasza ciemności. Przy stołach siedzą, jedząc i popijając, niedobitki spadochroniarzy.

Stroje najrozmaitsze: jedni w koszulach, inni mają tylko koce na sobie, przeważnie boso; nieogoleni i czarni, jak diabły.

Światło dopełnia wrażenia. Jakaś spelunka, istna jaskinia zbirów.

Wszyscy beztrzesko rozmawiają. Od czasu do czasu wybuch śmiechu!

W rogu sali stoi zaimprovizowany bar. Podchodzimy. Dostajemy chleb, masło, ser i butelkę likieru!

Po kilku dniach w Neerloon dołączamy do Brygady. Spotykamy kolegów. Opowiadania o przeżytych dniach nie kończą się.



Na warcie w warunkach polowych i...

Jak wesoło, jesteśmy bowiem znowu razem!

Tak mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Spora ilość kolegów pozostała na polach walk. Na zawsze pozostali na ziemi holenderskiej, o której wolność walczyli. To, raz poraz przychodzi każdemu z nas na myśl i wywołuje długie nieraz chwile milczenia.

Po kilkunastu dniach pobytu w okolicy Grave w Holandii, Brygada wraca z powrotem do bazy, do Anglii. Przychodzą nowi żołnierze, by wypełnić luki powstałe w szeregach. Na nowo zaczynamy intensywne szkolenie. Tym razem już mamy duże doświadczenie bojowe.

W czasie nowych ćwiczeń wykorzystujemy je w całej pełni.

Czekamy na nowe zadanie.

W tym okresie z rozkazu władz wyższych opuszcza nas dowódca gen. Stanisław Sosabowski. Twórca brygady spadochronowej.

Był on twardy i bezwzględny względem podwładnych, ale i wobec siebie również. Często przykry w obejściu, a mimo to lubiany przez ogół żołnierzy. Domysły co do powodu jego odejścia były różne. Zasadniczych faktów, które o tym zdecydowały, nie znamy.

Nowy dowódca, płk dyplomowany Stanisław Jachnik, miał trudne zadanie. Musiał nie tylko utrzymać wszystko na dotychczasowym poziomie, lecz ponadto wprowadzić w życie zdobyte doświadczenie bojowe. Zabrał się do pracy z zapałem. Niestety, nieszczęśliwy wypadek, któremu uległ, nie pozwolił mu wypełnić planów.

Odszedł.

Przyszędł następca, ppłk dypl. Rawicz-Szerbo. Podjął zadanie poprzedników. Był i nie był znany w Brygadzie. Znali go starsi, z trzeciego baonu.

— Też piła — mówiono o nim.

Aby się dać wszystkim poznać, zwyczajem wojskowym napisał rozkaz, w którym powiedział między innymi: „...Stawiam sobie i Wam zadanie: być godnym zaszczytu służenia pod Sztandarem od Warszawy.

Nic nie uronić z dorobku, który już mamy za sobą.

Dorobek ten powiększyć...“

Orka zaczęła się od nowa. I to rzetelna.

Było to w okresie, kiedy na Kontynencie działy się rzeczy dziwne. Sytuacja z dnia na dzień zmieniała się. Niemiecka armia przestawała istnieć. Rozpadała się w gruzy.

Prasa nie nadążała podawać wypadków z poszczególnych frontów.

Systemem szeptanym dowiedzieliśmy się, że niedługo ponownie wejdziemy do akcji.

Tym razem — zadanie specjalne. Podobno dzielni wojacy czescy, od





... w garnizonie.

dłuższego czasu zdobywają Dunkierkę, i coś im to nie wychodzi. Wobec tego muszą Polacy.

Przygotowania w pełni! Brygada ma po raz pierwszy pełne stany. Tak nigdy jeszcze nie było!

W maju 1945 roku ruszamy.

Tymczasem Niemcy w Dunkierce poddali się: Anglikom i Francuzom. Czechom nie chcieli. Uważali to, jak twierdzili niektórzy za dyshonor.

Jesteśmy znowu na kontynencie... Kołujemy przez pewien czas po Belgii i lądujemy na... okupacji.

Wojna się skończyła.

Wszędzie pełno świeżych śladów walki. Klewe — nowy rejon zakwaterowania — w gruzach. Wygląda strasznie. Niemców prawie nie widać. Puśto. Urządzamy się, ale nie odczuwamy zadowolenia ze skończonej wojny.

Po pewnym czasie zdajemy sobie sprawę z faktu, że dla nas trudy wojenne, czy tułaczka jeszcze się nie skończyły. Radość, jeśli można było ją spotkać, była raczej sztuczna.

Jak z powrotem do Kraju?

Zaczyna się od walki duchowej. Na gruzach wszechwładnych do niedawna Niemiec znajdujemy ogromne masy naszych rodaków. Jeńcy wojenni, siedzą w obozach. Wysiedleni z kraju do prac przymusowych, rozproszeni są po całym terenie. Krewni i znajomi spotykają się po długich latach rozłąki.

Po krótkim pobycie w Klewie przechodzimy na nowe miejsce postoju do powiatu Bersenbrueck.

„I cóż dalej szary człowieku?“

Zamiast gospodarzyć, czy rozpocząć nowe życie w Kraju, schodzimy do roli okupanta. Z dnia na dzień coraz bardziej oczywistym staje się fakt, że nie wszyscy możemy wrócić do swoich.

Dochodzą nas z Kraju nawoływania bliskich: „Wracajcie!“

Sytuacja jest trudna, szczególnie dla dowódcy. Nie spodziewał się dowodzić nami w takiej sytuacji.

Znał jednak żołnierzy i powiedział otwarcie:

— Każdy niech decyduje we własnym sumieniu o wyborze chwili powrotu.

Powziąć decyzję nie łatwo. Tym bardziej, że z Kraju dochodzą nas rozmaite, przeważnie mało wesołe, wiadomości.

Mimo to spora ilość naszych kolegów zdecydowała się na powrót. Odjeżdżali partiami.

W lasku, na boisku, zbieraliśmy się, by ich pożegnać. Życzyliśmy im wszystkiego najlepszego. Był zawsze i dowódca, uściśnął dłoń żołnierską życząc powodzenia w pracy dla Kraju.

Jeszcze ostatnie rozmowy — pozdróćcie, a odwiedźcie moich w domu...

Przy dźwiękach orkiestry odchodzący, defilując żegnali sztandar Brygady.

Reszta nadal spełnia zadania okupacyjne.

Życie musieliśmy sobie zorganizować tak, by nie tylko wypełnić zadania, które nam narzuciła okupacja, ale i tak, by jak najszerzej wykorzystać czas.

Wielu spośród nas — to młodzi ludzie. Szkół prawie w ogóle nie widzieli. Jeśli kto miał zawód z cywila, to lata wojny w znacznym stopniu zatępiły wiadomości. Zrodziła się, a raczej życie narzuciło myśl, by najbar-



dziej potrzebującym dać podstawowe wiadomości w zakresie szkoły powszechnej, innym przypomnieć dawny, bądź dać nowy fach do ręki. Powstały szkoły i kursy. Wielu w ciągu dwóch lat okupacji zdobyło sporo cennych wiadomości. Nie pójdą w życie nieprzygotowani.

Zasługa nie przypada w udziale wyłącznie organizatorom. Fachowych sił w Brygadzie nie było. Przyszli nam z pomocą nasi koledzy z obozów po-jenieckich i z poświęceniem oddali się pracy. Sami żyjąc w niepewności o przyszłość i czekający ich los, przygotowywali kolegów do zwalczania jego przeciwności.

Zetknęliśmy się z masami wysiedlonych rodaków. Znajdowali się oni w warunkach bardzo trudnych. Wojna pozostawiła ich bez opieki materialnej



i duchowej. Nieśliśmy im pomoc, na jaką było nas stać. Przykro, że nie mogliśmy w całej pełni zaspokoić ich potrzeb. Wśród rodaków wielu odszukało swych bliskich. Wielu żołnierzy znalazło narzeczone i żony.

Obok trosk dnia codziennego — służby i nauki, przeżywaliliśmy także chwile uroczyste i wznioste. W dzień Święta Narodowego, 3. maja, wystąpiła Brygada w całej swej okazałości. Przypomnieliśmy sobie dawne przedwojenne czasy. I wówczas bardziej niż kiedykolwiek żał nam było, że nie jesteśmy, że nie możemy być na ziemi ojczystej.

W ciągu dwulecia okupacji mieliśmy sporą ilość gości. Odwiedzali nas nasi przełożeni Anglicy i Polacy.

W czasie swego pobytu na kontynencie bawił również i u nas Prezes Polonii Amerykańskiej p. Rozmarek.

Ze wszystkich zajęć najwięcej emocjonował nas sport, a najulubieńszą ze wszystkich jego gałęzi i najpopularniejszą była piłka nożna i łowiectwo. Nasza drużyna piłkarska biła przeciwników raz po raz. Nawet Anglików. Ciekawe, że dopiero po długich „dyplomatycznych zabiegach“ nasza jedynastka spotkała się z drużyną 1. Dywizji Pancerniej.

Jakoś nie chcieli zmierzyć się z nami — wygrażali się jednak na lewo i prawo, że jak przyjdą, to nam skórę zleją, że...

Doszło wreszcie do spotkania i... wygraliśmy.

Ten fakt zbliżył nas. Z obu zespołów wyłoniono jedną drużynę reprezentującą Polskie Siły Zbrojne na okupacji. Zespół ten rozstał się nie tylko na terenie Niemiec, ale również we Francji i Belgii.

Niebawem rozejdziemy się.

Troska o przyszłość, o zapewnienie bytu, chmurzy nam ostatnie nasze żołnierskie dni.

Nie wiemy co nas czeka.

Zginać można w walce, pełniąc szlachetny obowiązek; jeszcze łatwiej zginać można w masie ludzkiej.

Przypominam sobie chwile przed skokiem. Niepewność nie dawała spokoju. Dziwny jakiś lęk wciąż nasuwał pytanie: „Zginę, czy wyjdę cało do dalszej walki?“

Wówczas magiczne GO! — naprzód! — wyrывało z niepewności.

GO! — dodawało energii słabnącej woli.

Kto krzyknie, a raczej — co będzie teraz naszym życiowym — GO!

i duchowej. Niektórym im pomoc, na jaką było im stać. Przekaz, na się  
mogłiny w całej pełni zapożycić ich potrzeb. Wśród rodaków wielu odzna-  
kają swych bliźnich. Widać żołnierzy znalazło narzeczono i żony.

Obok trochę data codziennego — studyj i nauki, przesyłaliśmy także  
chwile uroczyste i wzniosłe. W dzień Świąt Narodowego, 3 maja, występiali  
Byłaby w całej swej okazałości. Przymiennielemy sobie dawne przedwo-  
jenne czasy i wówczas bardziej niż kiedykolwiek żal nam było, że nie ja-  
staliśmy, że nie możemy być na ziemi ojczystej.

W ciągu dwulecia okupacji niedługo sporę dość gości. Otwierali nas  
nasz przetrwali Anglicy i Polacy.

W czasie swego pobytu na kontynencie dawali również i u nas Prasa  
Polski Amerykańskiej p. Romanek.

Ze wszystkich zajęć najwięcej emocjonował nas sport, a najobciężniej  
ze wszystkich jego gatunki i najpopularniejszą była piłka nożna i łowicтво.  
Nasza drużyna piłkarska była przeciwników raz po raz. Nawet Angliców.  
Głównie, że dopiero po długich „dyplomatacznych zapiegach” nasza jed-  
nostka spotkała się z drużyną I. Dywizji Pancernej.

Jakoś nie chciało nam się z nimi — wygrałi się jednak na łowo  
i prawo, że jak przysięgł, to nam słodziej, że...  
Dostało wreszcie do spotkania i... wygrałiśmy.

Ten fakt zdziwił nas. Z obu zespołów wykonano jedną drugą regu-  
mentację. Polska Silesyjska na okupacji. Ktoś tam torował się nie  
tylko na terenie Niemiec, ale również we Francji i Belgii.

Niebawem rozczłony się.  
Trochę o przyszłość, o zapewnienie bytu, chmurny nam ostatnie nasze  
niecierpliwie dal.

Nie wiemy co nas czeka.  
Zginąć można w walce, pełnić zadania okupackie; jeszcze łatwiej  
zginąć można w masie ludzkiej.

Przymiennielemy sobie chwile przed obłokiem. Niepewność nie dawała spo-  
koja. Dziwny jakiś był wciąż naszemu pytaniu: „Zginie, czy wyjde jako  
do daliej waliki?”

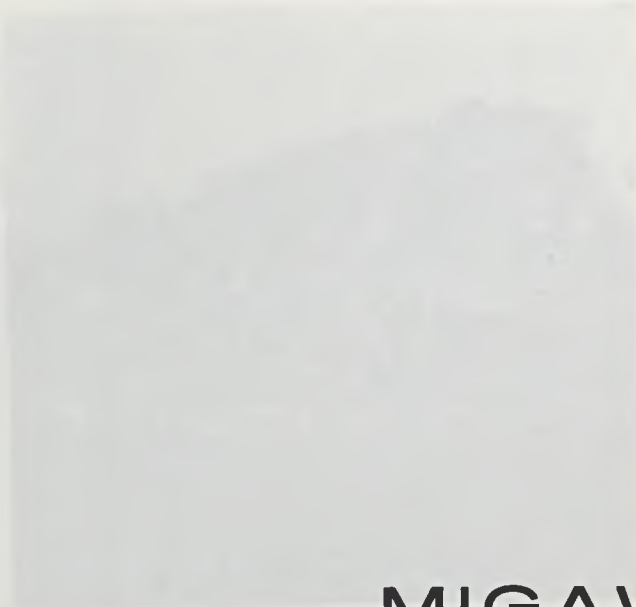
Wówczas magiczne GOI — przetrwali — wyrywano z niepewności.  
GOI — dobawano energii i siłki woli.  
Kto przetrwał, a także — co będzie teraz naszym słowem — GOI

Widziałem, że dla podawania wiadomości w zakresie szkoły powoła-  
niej, który przetrwał dawny, jeśli nie nowy, kształt. Towarzystwo szkoły  
i szkoły. Widać w całym doświadczeniu, że okupacji, zdobyła spora część wiedzy  
na ten temat w tym wyprzedzającym.

Widziałem, że przetrwała w szkole wyjątkowa organizacja. Towarzystwo:  
na w tym czasie nie było. Przetrwała nam z pomocą, która była z obywat-  
przebiegiem i z powołaniem, który nie przetrwał. Sami byli w niepewności  
o przetrwanie i także, że przetrwały, którzy do przetrwania  
jego przetrwali.

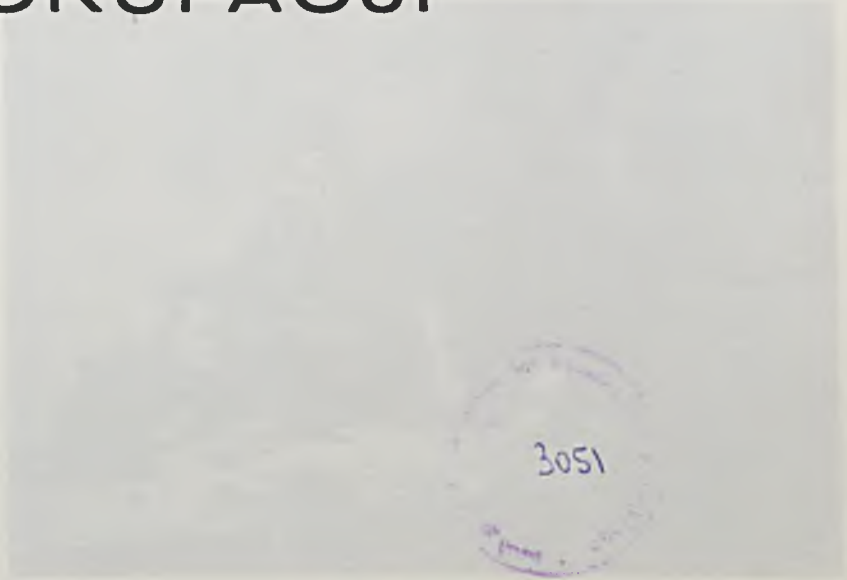
Widziałem, że z masą wyprzedzających wiadomości. Przetrwała się, że  
w przetrwał, który przetrwała, który przetrwała, który przetrwała.





Faint, illegible text, possibly a date or location, located to the right of the top-right photograph.

**MIGAWKI Z OKUPACJI**



3051  
Circular stamp with illegible text around the number.

MIGAWKI Z OKUPACJI





Przygotowanie do apelu mundurowego.



Apel mundurowy ...  
...ich sześciu i on jeden.



Magazyn broni.



W kancelarii.

...ich zrodzie i na jebie  
...tyl zrodzow...



Przygotowanie do spisu ludowego.



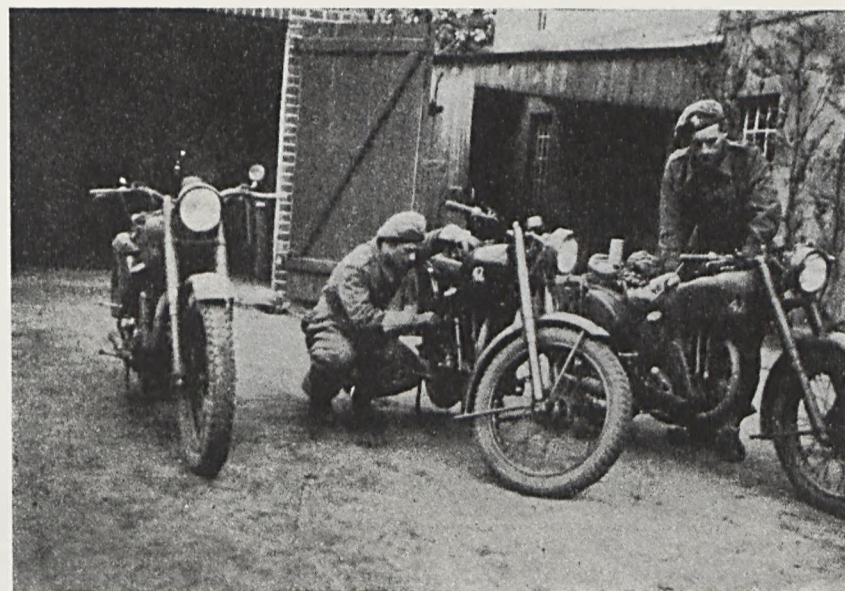
W Krasnym.



Magazyn broni.



Wypłata żołdu.



Czyszczenie sprzętu.



W kolejce  
po repęte!



Old-time bicycle



Children sitting



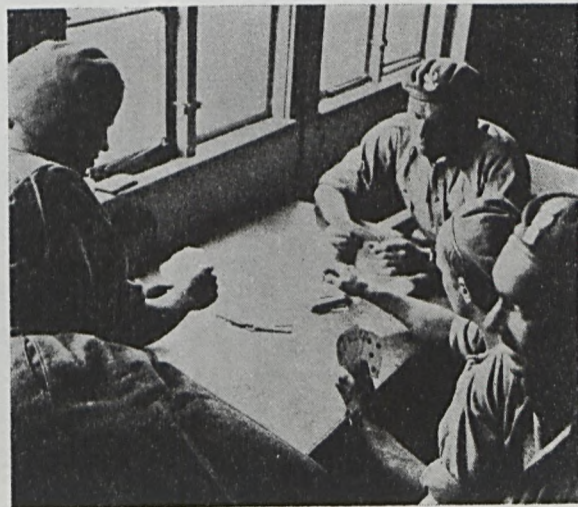
Children in line



Dobry żart — tynfa wart.



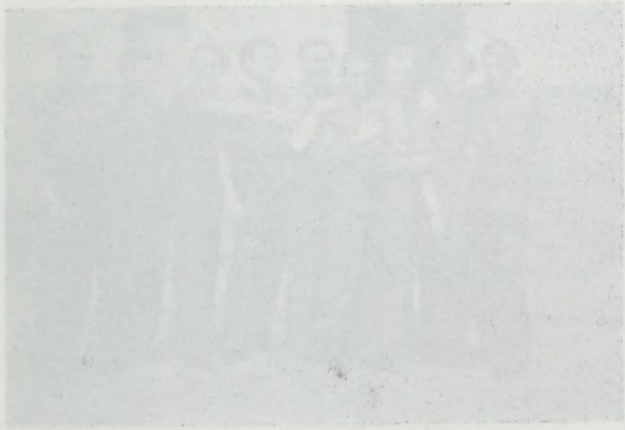
„Hasestrasse 5“.



...leży bez pięciu.



To moja pralnia.



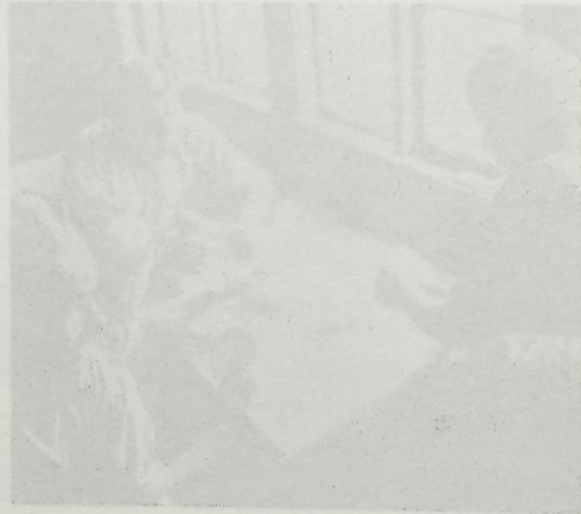
Band of the 1st



Doby tent - 1st regt



1st regt



...for the picnic



Sztandar Brygady  
wkracza na miejsce  
uroczystości.



Kompania  
sztabarowa



Co służbówy tu robi?



Goście oddają honory.



View of  
the river



View of  
the river  
from the  
bridge



View of  
the river



View of  
the river





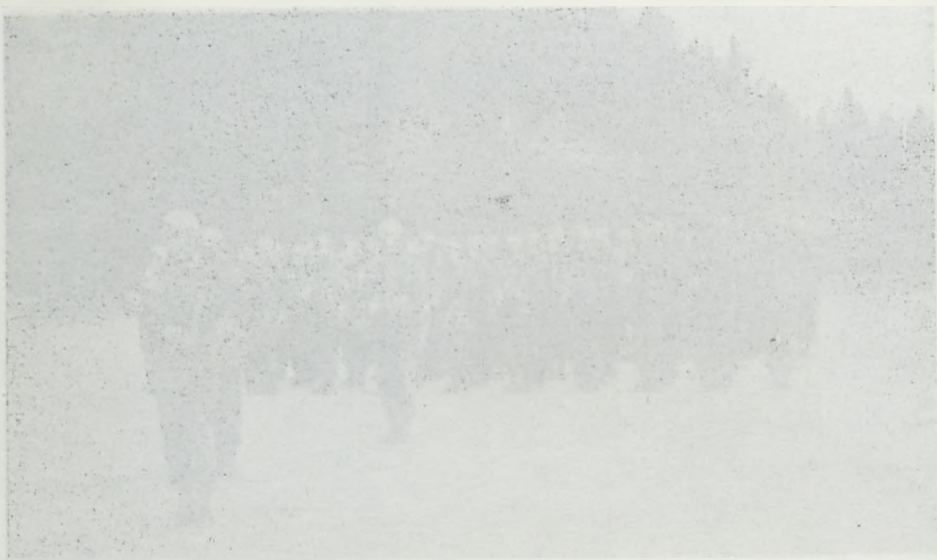
Dowódca Brygady ppłk dypl. A. Rawicz-Szczerbo.



Powietrzny Dywizjon Artylerii Lekkiej.



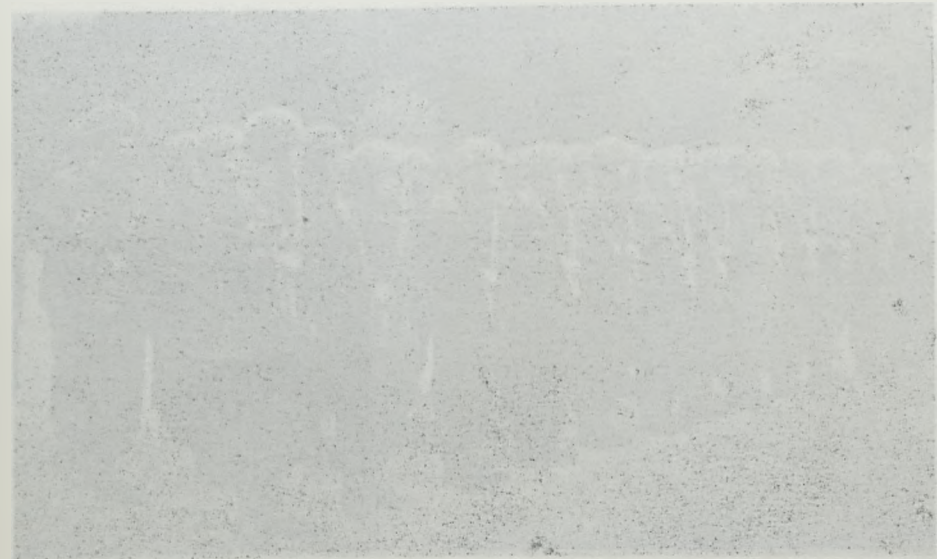
Na prawo  
patrz!



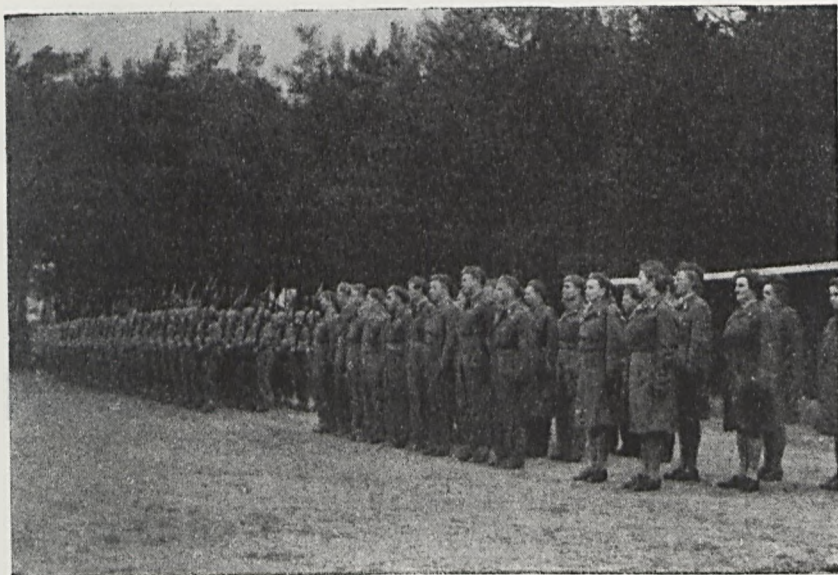
Podczas Turnieju Kolarskiego 1934



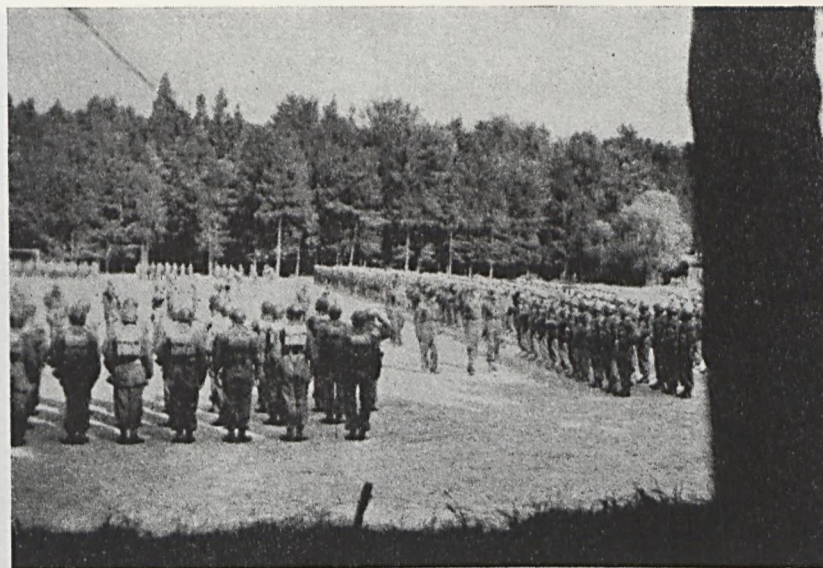
Podczas Turnieju Kolarskiego 1934



Podczas Turnieju Kolarskiego 1934



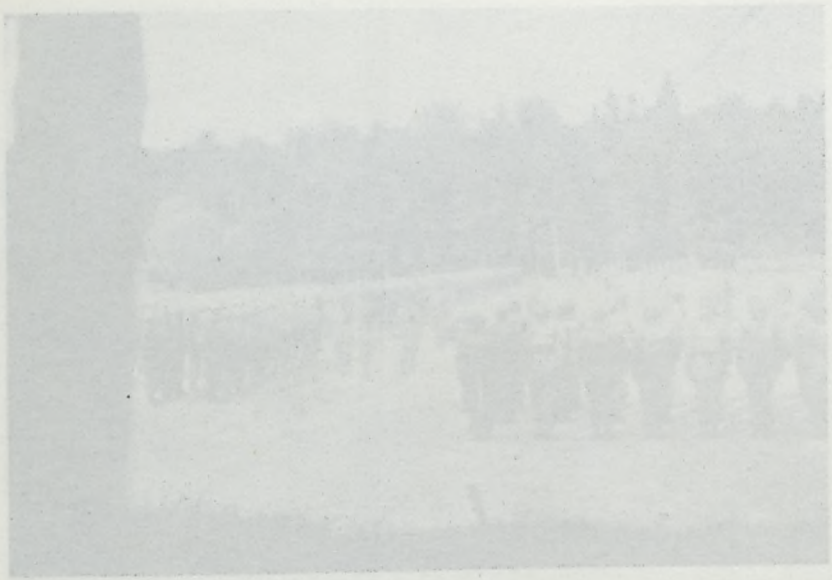
Nieprzydzieleni i nieprzydzielone.



Podczas uroczystości.



Odprowadzenie sztandaru do Dowództwa.



Podczas wroczyści.



Nieprzyjemni i nieprzyjemni.



Oprowadzenie standardu do Dowództwa.



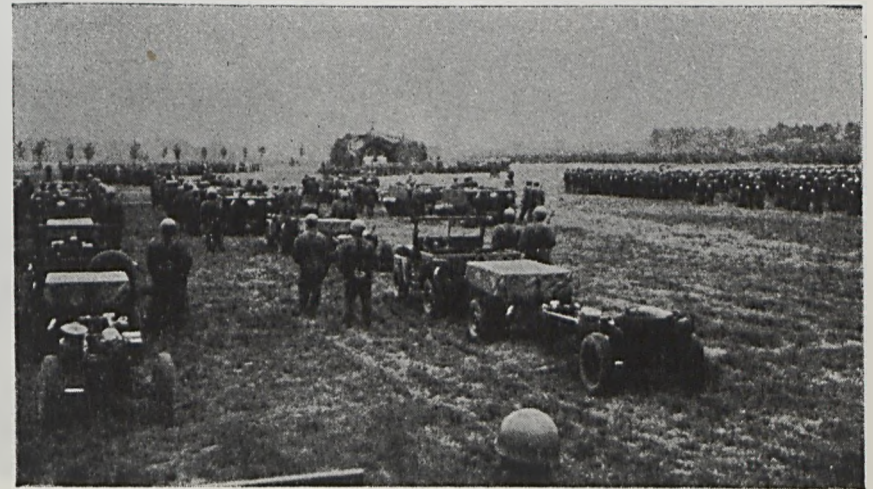
Oltarz pod spadochronem



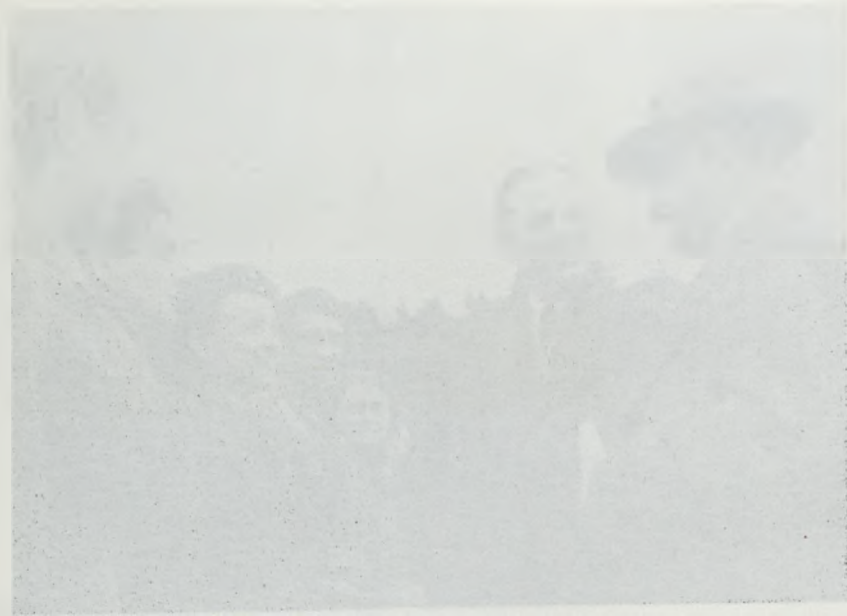
Prezes Polonii Amerykańskiej Rozmarek w rozmowie z P.W.S.K.  
wiadomo... pleć piękna...



Najmilsi goście Dowódcy.



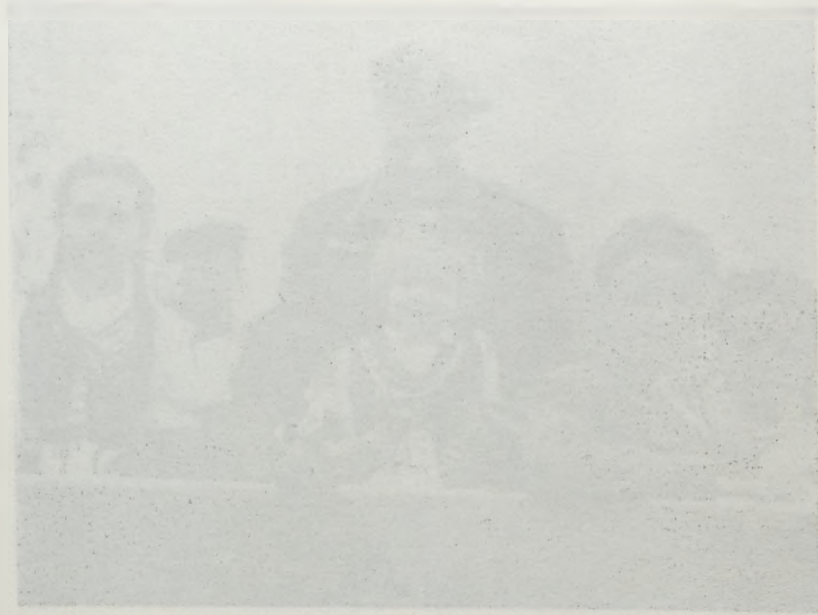
Podczas mszy polowej.



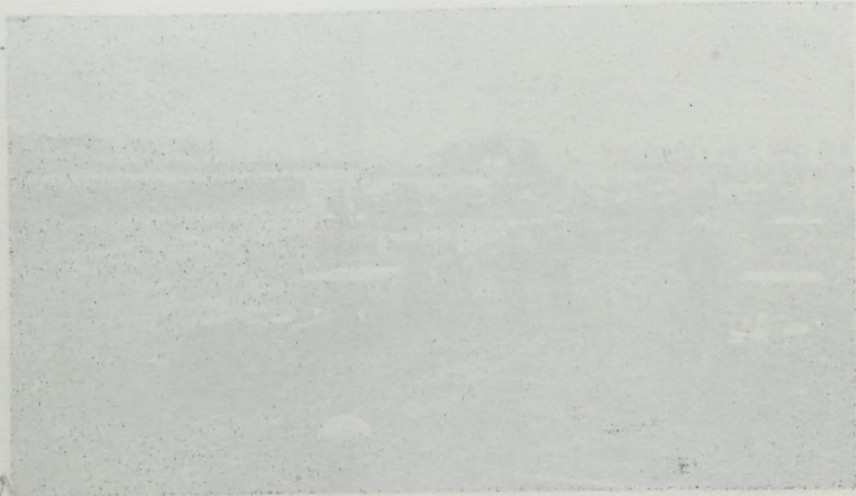
Two young women standing in front of a house in W.A.M.  
... ..



... ..



... ..



Podczas pracy polowej.



Dwaj zastępcy — D-cy Dyw. Panc. płk. dypl. Majewski i D-cy Sam. Bryg. Spad. mjr. dypl. Tonn.



Powaga dyskusji.



Przywódcy duchowi



2. Baon Spad. z d-cą kpt. dypl. Stasiakiem na czele.



George (faded)



Three people standing in a line outdoors (faded)



Landscape photograph (faded)



Person in field (faded)





Gdzie mój beret?



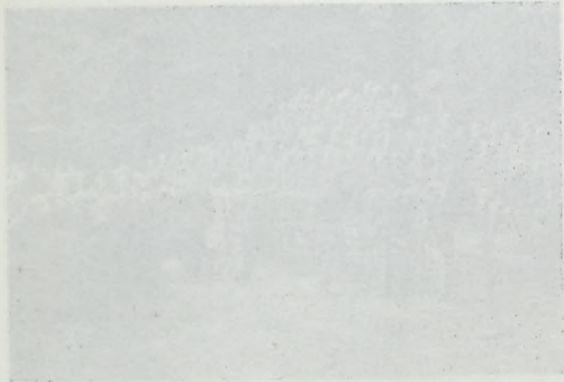
„Lordowie“ Brygady na własnej trybunie  
Kompania Saperów.



Kandydaci na leśnych dziadków.



Opiekujący się Pluton.



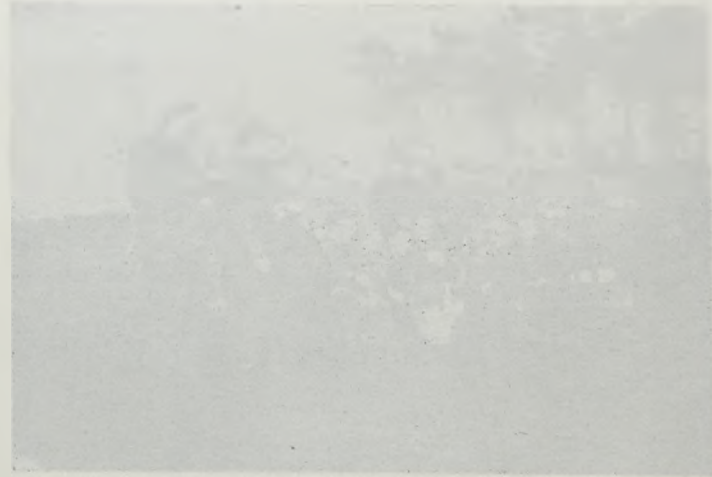
1. Pohledy dětí na výstavě  
Kaučukové výrobky



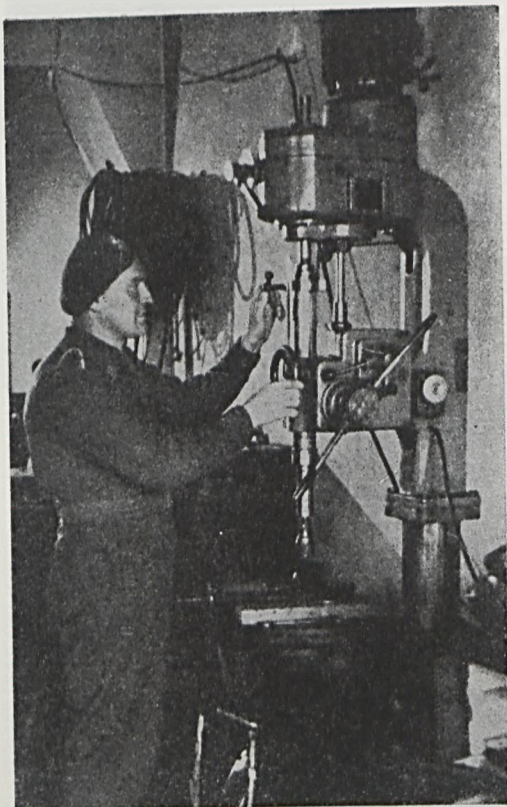
Člověk je krásný



Člověk je krásný



Kaučukové výrobky



To się przyda!



Drogomistrze na zajęciach praktycznych...



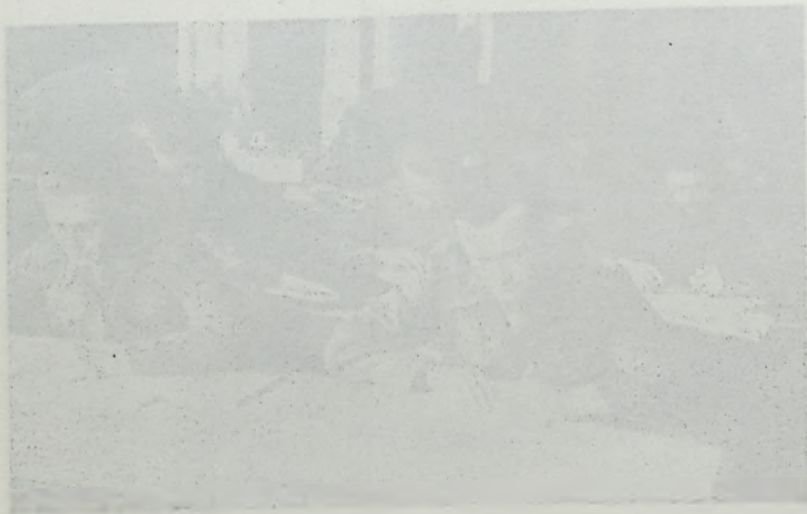
...i teoretycznych.



...the landscape of the island...



The big building



...the people...



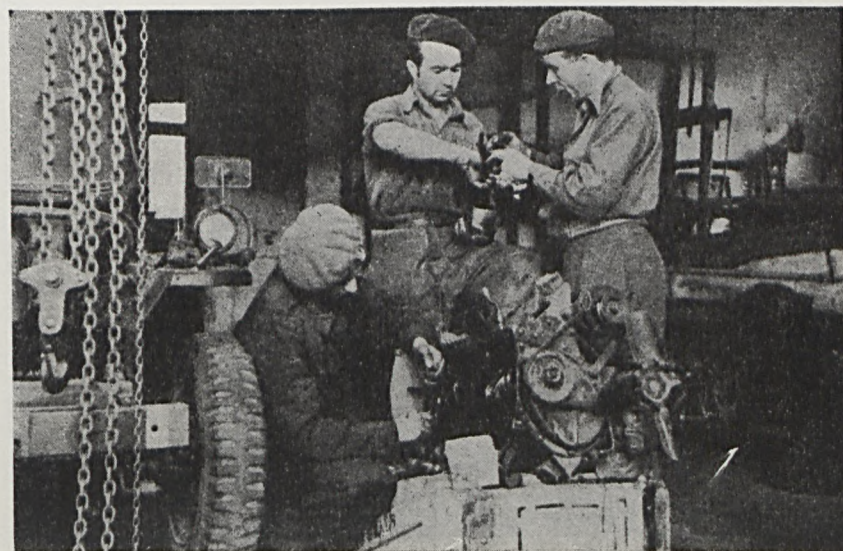
Nauka niwelacji.



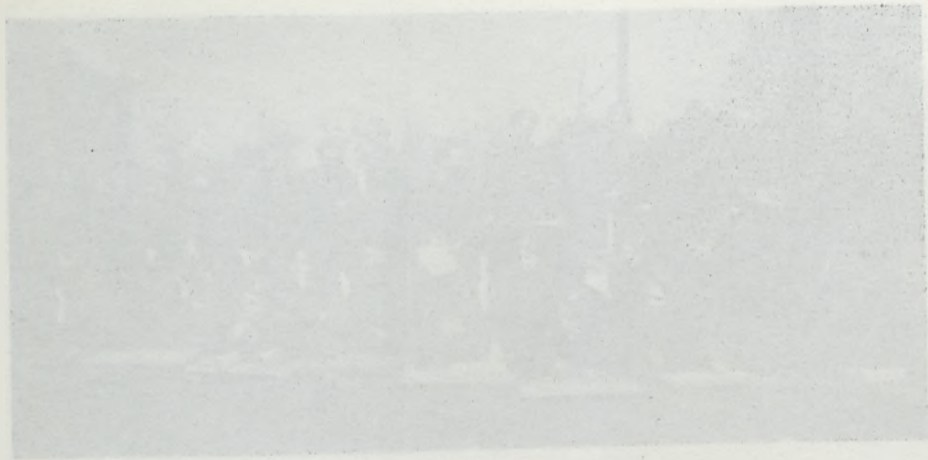
Kreślarze.



Kursy kończyły się ucztą.



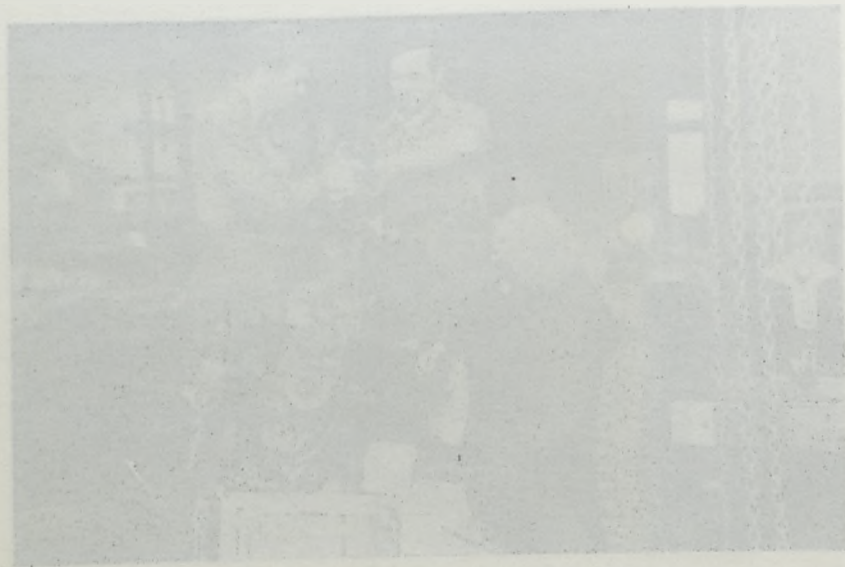
Przytrzymaj no...



Wieloletni



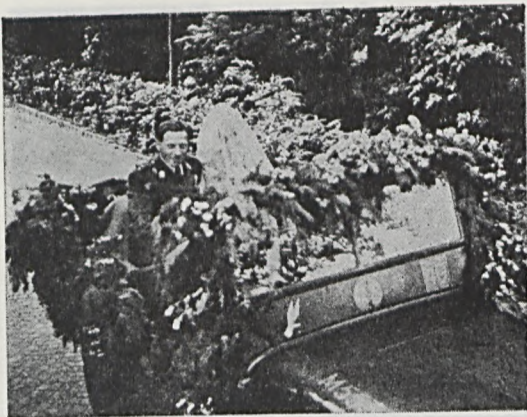
Mała dziewczynka



Przytulny moment



Któryś z nich  
nie



Szczęście Boże młodej parze!



Wszyscy saperzy  
przyjmują nowożeńców...



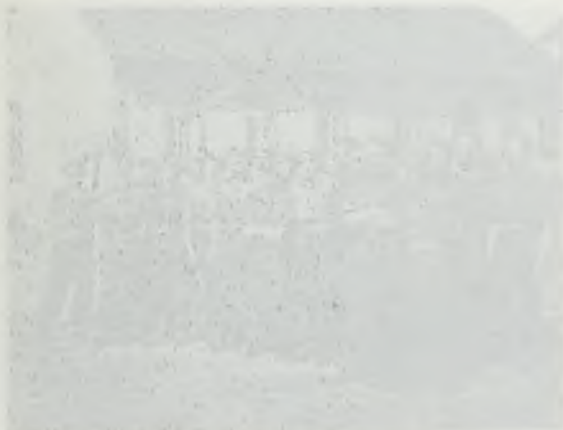
...inni, ot tak!



Obiad żołnierski.



...jeden w ogrodzie...



...Janek to Janek...



...wiosna w wiosnie...



...Janek to Janek...



...zobacz w Janek...



...Janek to Janek...





Reprezentacje — drużyny Brygady Spadochronowej  
i 1. Dywizji Pancernej.



Cyrk Buergera.



W czasie gry.



Piramidka z pieskiem.



1911



1911



1911



1911



Trybuna główna  
i „łoża“ specjalna.



Ten, który najbardziej przeżywa każde spotkanie — trener drużyny  
por. Hasselbusch.



Łączność zawsze gra.



Dr Stojkow opowiada kawały jednemu spad, rotmistrzowi.



The crowd gathered for the...  
for the...  
the...  
the...



The...  
the...  
the...



The...  
the...  
the...



The...  
the...  
the...



Jeszcze jedna  
kuropatwa padła.



Śniadanie w „górzystym“  
terenie Bersenbrueck.

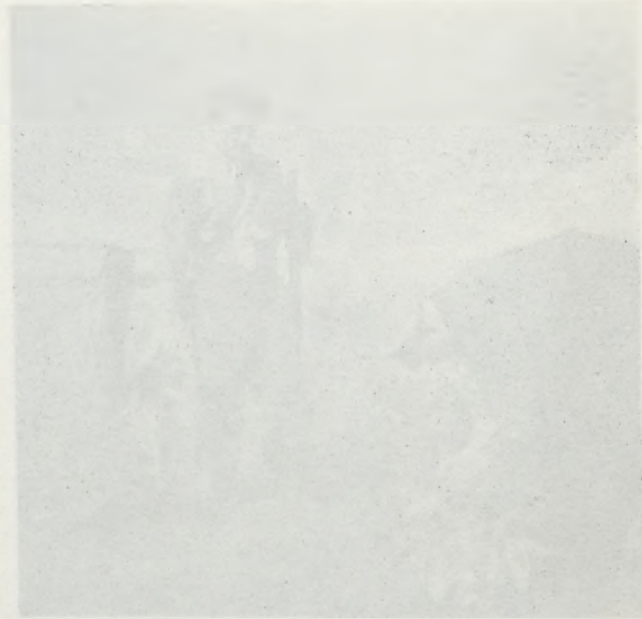


Kpt. Myszkowski na łowach.



1971. Wiosna w lesie

1971. Wiosna w lesie



1971. Wiosna w lesie

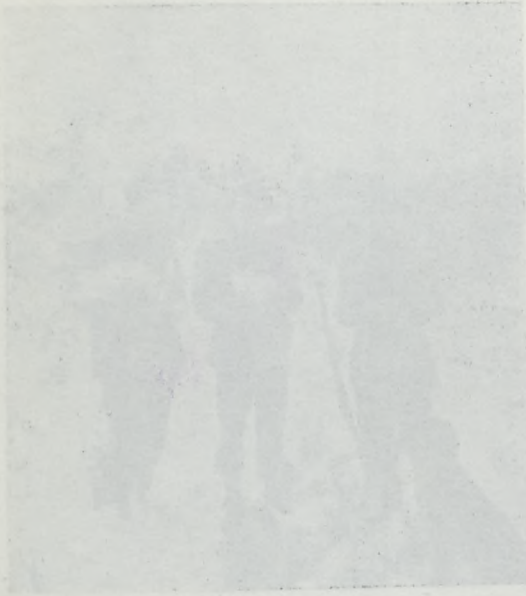


„Kosiba“ wydaje myśliwym po „jednym“.

Do fotografii  
wystąp!



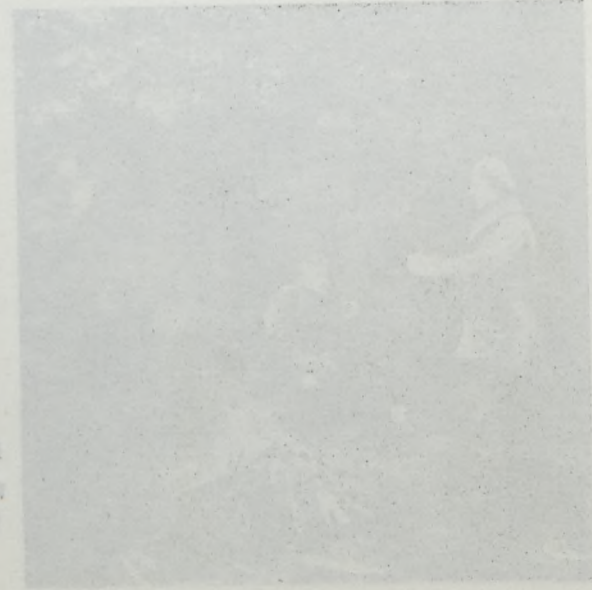
Myśliwi przy ognisku  
potrafią opowiadać...  
Szczęście... w nieszczęściu!



Do lotnisk  
wysiadł



„Kosiba” widać najlepiej po „leżym”.



Wielki przy ognisku  
potężny opowiadają...  
Szczepan... w niezapomnianym





